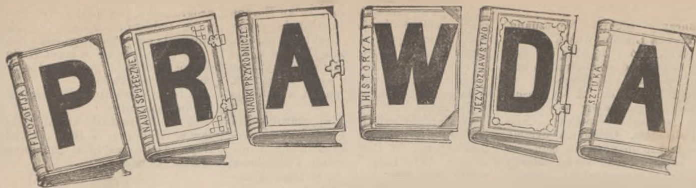
Nr. 11. Warszawa, dnia 16 (4) Marca 1895 r. Rok XV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2. rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Prenumeratorom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

„PERŁA ANTYLLÓW."

Od kilku tygodni pomiędzy krajem macierzystym a największą i najpiękniejszą z wysp antylskich odbywa się osobliwa wymiana produktów: z Hawany nadchodzą do Madrytu telegramy wojenne, a z portów hiszpańskich odpływa do Hawany wojsko. Od dwóch już blizko miesięcy wrze powstanie, obyczajem jeszcze tych Iberów, którzy dostarczyli bohaterów Numancyi i z Viriathusem walczyli w Luzytanii — prowadzone w sposób podjazdowy, jakby mała wojna, *Guerilla.* Powód do zbrojnego ruchu dało niezadowolenie z porządków i nieporządków hiszpańskich na wyspie, zostającej obecnie pod opieką generał-kapitana Rodrigueza Alcarra. Niezadowolenie na Kubie to rzecz stara jak Kuba od czasu odkrycia jej przez Kolumba. Już po zniesieniu niewolnictwa (w r. 1880) w Madrycie chciano wrzenie zażegnać, ale nierozumny patryotyzm staro-hiszpański podcinał liberalne zamysły. Sarkali i umiarkowani, sarkali i postępowcy na wyspie, a najgłębsza niechęć wydobywała się z separatystów. Tamtych jątrzyły tylko nadużycia przy bezwładności; ci nawet nieba hiszpańskiego nie chcieli, nie chcą i wołają o Kubę dla kubańczyków. Co lat kilka zamieniają się w *desperados* i powstają. Ostatnie powstanie r. 1868—1877 nie ustało na rozstrzelaniu w r. 1874 przewódcy, Cespedesa y Quesada. Ruch obecny obrał sobie chwilę fatalną: właśnie udało się teraz Sagascie przełamać opór wsteczników w Hiszpanii i na Kubie — i przeprowadził przez obie Izby kortezów ustawę o samorządzie wyspy, tak, iż w tej chwili potrzeba tylko podpisu królowej regentki, aby litera prawa zaczęła żyć w ludziach—kiedy nagle przyleciała z za morza „wieść" o nowym ruchu zbrojnym — anti-hiszpańskim i anti-monarchicznym — bo takim dotychczas był każdy ruch na wyspie.

Nic pewnego powiedzieć nie można o rozmiarach samorządu przyznanego Perle Antyllów przez Kortezy. Mamy tylko ujemne granice organizacyi, wiemy, że nie daje ona tej sumy swobód, jaką posiada każda kolonia angielska trzeciego, najdoskonalszego, typu, jak np. Kanada: a takich właśnie swobód dopominało się stronnictwo postępowe. Wprowadza nowe prawo jakieś zgromadzenia prowincyonalne w sześciu prowincyach wyspy, wprowadza i kongres z tych zgromadzeń wyłoniony; ale z jakiemi atrybucyami, z jaką zwłaszcza siłą kontroli nad władzą wykonawczą—tego z mętnych doniesień dziennikarskich, w braku bezpośrednich świadectw, wywnioskować nie podobna. Jeżeli ustępstwa nawet dla umiarkowanych okażą się niewystarczającemi, wtedy ruch zbrojny zyska dla siebie moralne przynajmniej poparcie; o materyalnem pomyślą Stany Zjednoczone — pomyślą ich kapitały, ich chciwcy handlowi, płacący drogo za wywożony z Kuby melas. Już w roku 1850 grasowała w umysłach, zwłaszcza południowców, wówczas jeszcze karmiących się niewolnictwem, teorya tak zwanego „złotego koła." To koło dlatego było złotem, że jego obwód na południu zagarniał dla Stanów Zjednoczonych całą zatokę meksykańską, aż do wybrzeży Ameryki południowej. W każdem powstaniu na wyspie od tego czasu występowała pewna gromada ludzi sprzyjających anneksyi. W powstaniu 1868—1877 r. w Stanach Zjednoczonych zorganizowano niejedno wylądowanie z zewnątrz. Wywoływało to nawet zatargi dyplomatyczne. Wypełzła wprawdzie z ojczyzny Waszyngtona hańbiąca ją ją niewola, ale pozostała doktryna Monroëgo, pozostała gorączka spekulacyjna, a w szlachetniejszych, nielicznych, jak wszędzie i zawsze, umysłach—szczera chęć poprawienia losu mieszkańców przez powołanie ich do życia politycznego.

Apetyt republikanów amerykańskich, wyższego lub niższego stylu łatwo zrozumieć, gdy się spojrzy na to, co jest jego przedmiotem. „Perła Antyllów" usprawiedliwia swą nazwę hojnością, z jaką ją obdarowała natura. Sam już jej klimat jest jednym z najpiękniejszych na ziemi: średnia temperatura nie przenosi tu 24° R., nie spada pod 17°; morze łagodzi gorąco. Przy ogólnej rozległości 2,000 mil. kw. (bez wysepek przybrzeżnych) 520 mil rozciągłości brzegów, kilka wybornych przystani, a port w Hawanie wspaniały. Grunt bujny, urodzajnością zadziwiający, gdyby tylko tytoń i cukier wydawał, byłby już nieoszacowanym dla handlu warstatem. Wnętrze wyspy górzyste wcale jeszcze nietknięte, rozbudza nadzieję nowych skarbów. Dotychczas zaledwie ósma część powierzchni znajduje się pod uprawą, a już handel wywozi z Kuby 800 mil. kil. cukru i melasu, 400 mil. sztuk cygar i około 8 milionów liści. Ogólna wartość wywozu tych dwóch produktów dochodzi do 85 mil. dolarów. Amerykanin te liczby podwoi, potroi w ciągu lat dziesięciu. I zaludnienie wyspy nie odpowiada jej powierzchni i zasobom. Statystyka najnowsza daje jej tylko 1,700,000 mieszkańców. Przedsiębiorczość wynajdzie złoto, którem legenda powitała już Kolumba w r. 1492, a które szybko wyczerpało się stamtąd, skąd je krajowcy dobywali. Gdyby nie hiszpańskie gospodarstwo, gdyby nie rzezie i wytępienie indyan, gdyby nie niedbalstwo madryckie, rozzuchwalające rozbójników morskich, i ślepota, tamująca ruch — Perła Antyllów byłaby nietylko z łaski natury, ale i z woli człowieka—perłą.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Japończycy zdobyli Niu-czuang, nad rzeką Lia-ho, ważną bardzo pozycyę, która im oddaje w moc zupełną port In-tsi nad wewnętrznem morzem Żółtem i pozwala rozpostrzeć się na zachód w kierunku Pekinu. Z szybkością najznakomitszych generałów w wojnach europejskich posuwają się już po za Niu-czuang ku Palisadom. Celem ich działań w tej stronie będzie opanowanie Sun-szanu i zupełne zabezpieczenie się od północy na czas operacyi w cesarskiej już prowincyi Peczyli. Prawdopodobnie korzystając z tajania lodów i zupełnego zniszczenia lub zabrania floty chińskiej u ujść Jalu, w Port Arthur i Wei-hai-wei, uderzą japończycy już wkrótce od morza na Szan-hai-Kuan, stacyę krańcową drogi żelaznej do Tien-tsinu, leżącego przy ujściu tej samej Pei-ho, nad którą położony jest Pekin. Dotarcie do stolicy Państwa Niebieskiego, stanowi ambicyę narodu całego, tamującą rozpoczęcie rokowań o pokój—już nie z winy Chin, które zgodziły się w zasadzie na: niepodległość Korei, wynagrodzenie pieniężne i ustępstwa terytoryalne. Dopiero teraz, po przyjęciu tych zasad, wejdzie Japonia w układy, a obciąży je wygórowanemi wymaganiami, nie chcąc odejmować czary od ust, które już poić się zaczęły poważną nadzieją podyktowania pokoju z Pekinu.

Li-hung-czang miał najpóźniej 14 b. m. wyjechać do Japonii z pełnomocnictwem, wystarczającem do zawarcia traktatu. Bardzo być może, iż jeśli siły pozwolą, dowództwo japońskie zechce, dla dopomożenia dyplomacyi, zająć święty Mugden mandżurski z grobami przodków, zniesławionych przez cesarza Kuang-su, do czego on sam się przyznał—grobów zatem o całą wagę tego zniesławienia droższych teraz, niż przedtem. Szczęściem dla Chin byłoby takie w nich wrzenie pod naciskiem klęsk wojennych, politycznych i moralnych, z którego by wyjść mogło ich odrodzenie. I to również stanowi ambicyę japończyków, nie zupełnie egoistyczną, i to również nie zachęca ich do łatwego zawarcia pokoju. Ustępstwem terytoryalnem, powszechnie już wskazywanem jest Formoza; ale na niej japończycy nie poprzestaną w układach. Sama też niepodległość Korei im nie wystarczy; dopomną się prawa zajęcia półwyspu swemi wojskami. Tylko Europa może nałożyć—i prawdopodobnie nałoży hamulec na zapędy zwycięzkiego narodu. Takie przecież uchronienie Chin od większych strat na razie będzie pokrzywdzeniem ich w ciągłości ich bytu i rozwoju. Z dobrej tylko chłosty nauka zbawienna wyjść może.

W Europie sejmy radzą głównie nad budżetami, podatkami i stosunkami ekonomicznemi. W Berlinie zasiadały jednocześnie dwie rady: rolnicza i handlowa; wręcz sobie przeciwne: bo co traci rolnictwo, to zyskuje handel, który mówić by mógł o sobie, jak Molière: *Je prends mon bien partout, ou je le trouve.* Z narad tych nie wytrysną zdroje mądrości i przybędzie tylko przeciwieństw, sporów i nienawiści. Od d. 12 obraduje również nad sprawami gospodarczemi, majątkowemi, państwa i społeczeństwa, pruska rada stanu. Zagaił ją sam cesarz i przez siedem godzin bez przerwy przewodniczył obradom. O treści ich niewiele doniósł do d. 14 b. m. telegraf: tylko Kanitz bronił swego zmonopolizowania handlu przez państwo, a z łona rady odzywali się przeciwnicy. W sejmie pruskim wniosek miejscowych przedstawicieli dopominał się ograniczenia działalności kolonizacyjnej, a jakiś podsekretarz stanu dowodził, że właśnie potrzeba tę działalność spotęgować. W sejmie cesarstwa nowy „Comité de sûreté publique" odrzucił zupełnie § 130 o podżeganiu, wzmocniony obroną Boga, monarchii, rodziny, własności i moralności. Wolnomyślni podejrzewają Środek o taktyczny tylko manewr.

We Francyi jeden z republikanów-demokratów dzisiejszych narzekał w Izbie deputowanych na nadprodukcyę oświaty: głodny a oświecony jest najniebezpieczniejszym; z takich to wylęga się anarchizm. P. Lockroy znowu wykazywał, że marynarka francuska kosztuje tyle, co angielska, a ma tylko $^{2}/_{3}$ wartości; działa przestarzałe, ohydne; żółwia niezdarność w ruchach: pieniędzy i trudu na gwałt potrzeba. Dziesięć dni temu dowodził ktoś inny, że Niemcy mają o 50,000 wojska więcej. Będą zatem nowe gonitwy z Anglią i Niemcami i nowe ciężary. A tu sprawozdanie z r. 1894 pokazuje 100-milionowy deficyt.

P. Waldeck Rousseau miał znowu mowy w Montbrison i w St. Etienne, obie programowe, jak gdyby był kandydatem na prezydenta rzeczpospolitej. Mówi rozumnie, ale polityka od gadania nie tyje.

Rosebery zostaje u steru rządu—czy na długo? Wysadzić go z siodła nie trudno będzie zachowawcom.

O Kubę powstają już zatargi ze Stanami Zjednoczonemi.

Wilhelm Bismark został nadprezydentem w Królewcu, a Bismark ojciec ma otrzymać od sejmu tytuł „honorowego obywatela Niemiec."



„JAŹŃ ZBIOROWA"

(przyczynek do psychologii życia zbiorowego).

O książce Scypiona Sighele'go, *Tłum przestępczy*, pisaliśmy przed paru laty, kiedy praca ta ukazała się w języku włoskim. Zatrzymywać się nad nią obecnie nie uważamy za stosowne, ponieważ wypadłoby nam powtarzać to, cośmy wtedy powiedzieli. Natomiast, korzystając z nadarzającej się okazyi, pomówimy o czemś innem. Rozprawa kryminologa włoskiego jest przyczynkiem do psychologii życia zbiorowego — odłamu nauki, dotychczas traktowanego po macoszemu, w którym po za ogólniki nie sięgnięto. Psycholodzy omijają tę sferę, poniekąd uważając ją za rzecz, należącą do socyologów; ci znowu oczekują, ażeby pierwsi przystąpili do studyów nad tym przedmiotem. W rezultacie nikt nie zajmuje się psychologią życia zbiorowego, która spoczywa odłogiem, oczekując lepszych czasów. Co najwyżej, kiedy niekiedy publicyści czynią wycieczki do tej dziedziny, zniewoleni wypadkami dnia, to znowu bierze się do analizy kryminolog, w razie zbrodni natury zbiorowej. Ale ktokolwiek głos zabiera, czyni to zwykle z pobudek praktycznych, ażeby rozstrzygnąć tę lub inną kwestyę bieżącą. Naturalnie, wycisnęło to piętno na dokonanych próbach.

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ALRUN.

Orla.

Może ja cię bezpotrzebnie trwożę... Ale tak mi coś tajemnego dokucza... Podniosę rękę, ażeby cię uścisnąć, zaraz czuję, jak gdyby mnie ktoś w nią uderzył. Wbiegnie mi do serca radość, zaraz coś ją z niego wypędza i wprowadza smutek. Wyssę pocałunkiem z twoich ust kroplę słodyczy, zaraz zmienia się ona mi na gorycz. Nie mogę ani chwili odpocząć, ciągle krążą koło mnie szkaradne widma, a do uszu wsuwają się złowrogie szepty. Nawet sen nie chroni mnie przed niemi i pozwala dręczyć. Och, Arjosie, czy to nie przednia straż złego, które ku nam się zbliża... Nie milcz, kochany, pociesz mnie.

Arjos.

Przyznaję się, Orlu, że mnie zatrwożyłaś... Twoim przeczuciom wierzę, bo wielokroć sprawdziły się. Tak, ciebie wszystko miłuje i dlatego, kiedy ci jakieś niebezpieczeństwo grozi, wszystko leci do ciebie z tą wieścią: wiatr cię ostrzega żałosnym jękiem, owady brzęczeniem, drzewa szumem, dobre duchy niespokojnym ruchem swych skrzydeł. Ja nie przewiduję nieszczęścia, ale jeśli ty jego blizki oddech czujesz...

Orla.

Doprawdy nie wiem, której myśli ufać... Bo czasem znowu świta mi w głowie promienna nadzieja, która mnie wypełnia jakiemś radosnem światłem. Więc może mnie tylko opanowywa lęk ściganej sarny, może mnie nawiedzają upiory, może my już będziemy szczęśliwi...

Arjos.

W sobie, około siebie, zewsząd słyszę tę dobrą wróżbę, tylko ty jedna mi ją odbierasz. To też sprobuj odegnać od siebie blade widma strachu i spojrz w tę życzliwie do nas uśmiechniętą twarz słońca. Czy ono nie obiecuje nam szczęścia?

Orla.

Ach, Arjosie, gdyby tak było!.. Dlaczego Alrun, dlaczego ludzie tak koniecznie pragną się nasycić naszą niedolą?.. Co my im zawiniliśmy? Czy to zbrodnia, że ja chcę należyć tylko do ciebie, a ty tylko do mnie? Czy my im zabieramy ziemię, wodę, niebo? Czy przez nas utracą najmniejszy kęs pożywienia? Niech powiedzą, gdzie nasze nogi nie mają stąpić i czego nasze ręce dotknąć, usłuchamy, zaryjemy się w ziemię, popłyniemy na morze, będziemy jedli to tylko, czem oni pogardzą, abyśmy mogli żyć bezpiecznie z sobą... Prawda, Arjosie, i ty na to się zgodzisz?

Arjos.

Na wszystko, droga, prócz na rozdział z tobą. Już pozwól słońcu wypić łzy w oczach twoich i nie płacz. Zanim Alrun nas odnajdzie, wprzódy go złość stoczy. Ta nasza kryjówka leży zdala od wszelkich gościńców i ścieżek, do tego jeziora tylko jelenie wązkimi przesmykami przychodzą się poić, ogień rozpalam jedynie w nocy, dnie spędzamy w jaskini — któż nas wyśledzi? Alrun poprzysiągł to robić i szuka, ale nawścieka się, natłucze językiem o zęby, namorduje ludzi, nawygraża bogom i da pokój.

Orla.

Podły zwierz... zawsze wstręt we mnie budził.

Arjos.

A był przekonany, że między tobą a nim stoi tylko Ukor.

Orla.

Cała ta gromada jest ohydna. Ty, Arjosie, wyrodziłeś się w niej, albo cię z innego plemienia ukradli... Wyglądałeś między nimi, jak bóg między małpami. I ja cię nie miałam kochać wyłącznie, niedz Alrunowi, temu gorylowi, który rycząc, sądzi, że piękniej śpiewa, niż słowik! Ach!

Psychologia objawów życia gromadzkiego stała się przedewszystkiem psychologią tłumu zbrodniczego, kiedy na jaw wychodzą najbrudniejsze chucie przyrody ludzkiej lub instynkty najbezmyślniejsze. Doszło do tego, że utożsamiono wszelkie objawy ducha zbiorowego z krwiożerczością i bezwolą umysłową, oraz zapomniano, że równie dobrze dałyby się wyszukać wypadki ekstazy altruistycznej. Nadto nasza epoka, tak skłonna do naśladownictwa i szablonu, „epoka mody," także nadała swoje cechy studyom nad tym przedmiotem. Aż nazbyt często psychologię tłumu wyjaśniają tylko za pomocą jednej pobudki: zarazy duchowej. Ktoś od innego osobnika „zaraża się" pewną ideą, epidemia moralna wzrasta coraz bardziej, aż nareszcie tworzy się rzesza bezmyślna, opętana poprostu pewną ideą lub jeszcze częściej pewnym instynktem. Książka S. Sighelego odzwierciedla w sobie wszystkie te poglądy i wady. Jej autor jest kryminologiem, którego uwagę przykuła do obchodzącego nas przedmiotu zbrodniczość objawów, jest on w ciągu dalszym wielbicielem pobudki naśladowczej i uważa ją za sprężynę, zarazem dostateczną i wystarczającą przy analizie ducha zbiorowego.

Korzystając ze sposobności, jaka nam teraz się nadarza, zatrzymamy się bliżej nad kilku ustępami z psychologii gromadzkiej. Czytelnik w naszym artykule znajdzie uboczną krytykę zapatrywań psychologa włoskiego, z którego poglądami na daną dziedzinę faktów w żaden sposób zgodzić się nie możemy.

I.

W ostatnich czasach wypłynął na jaw termin „jaźń zbiorowa," ktory zresztą w nowej nazwie wskrzesza rzecz starą jak świat; poniekąd owego *Herr Omnes*, jak powiadał Marcin Luter. Znalazł się nawet przyrodnik, który ową jaźń uważa za rzetelny organizm, za *un etre spinal et gangrinaire* i usiłuje utożsamić go lub chociaż uczynić podobnym do niższych jestestw żyjących, pozbawionych centralnego organu mózgowego a ujawniających niezmierną odruchowość, niezależną od siebie w pojedynczych członkach ciała. Ale jakąkolwiek etykietę przyczepimy do zjawiska, czy zatem użyjemy metafizycznych terminów „jaźni zbiorowej" i „duszy kolektywnej," czy poprzestaniemy na porównaniu z organizmami bez zwartej i zcentralizowanej woli lub określimy jeszcze inaczej, rzecz nie zmieni swego charakteru. W głębi, pod temi nazwami ukrywa się treść bardzo realna, zjawisko istotne i wyraźnie zakreślone.

Każdemu z nas zdarzyło się niejednokrotnie być ogniwem w organizmie szczególnym, który składa się z mnóstwa serc, acz niezależnych, bijących jednak harmonijnie; ze splotu myśli, drgających podobnie. I takie współdrganie z innymi, takie współistnienie powstaje żywiołowo, bez udziału naszej woli—przychodzi samo i porywa nas i wiąże w jaźń szerszą z osobami, których nawet nie znamy lub, co gorzej, których niekiedy nienawidzimy. Podziwiamy obraz na wystawie i wyobraźnią bujamy gdzieś daleko po świecie rojeń i marzeń. Drugi i dziesiąty z naszych przypadkowych sąsiadów równie duchem swoim odbiegł od życia otaczającego. Staliśmy się poniekąd solidarną gromadką bratnich serc i myśli. Współdrgamy w jaźni zbiorowej, mało zwartej i jeszcze mniej wyraźnej, ale swoją drogą zbiorowej! Albo przysłuchujemy się pewnej melodyi. Smętne a chwytające za serce tony unioszą nas znowu w krainę niebytu, wygrywają w naszej duszy odpowiednie oddźwięki, budzą tęsknoty i niecą pragnienie za pragnieniem. Na razie mnie przychodzi nam na myśl, że znowu staliśmy się jednem z wielu innemi, że wespół z nimi tęsknimy i rozrzewniamy się. Ale niechno ktoś z oporniejszych zmąci te akordy współtęsknoty niewczesnym śmiechem i szyderstwem podetnie nastrój ogólny, natenczas wszyscy ockniemy się z bólem, uczujemy jakby zgrzyt od tego rozdźwięku. Targnięto się na jaźń zbiorową i my, pojedyncze komórki gromady duchowej, zaprotestowaliśmy całem swojem jestestwem. Stanowiliśmy jednego ducha, rozprysniętego na liczne osoby, spoidło psychiczne pomiędzy nami ciągle rosło, aż wreszcie prysło niebacznie przecięte. Mimowoli nasuwają mi się obrazy z Mickiewicza:

> . . . . . wszystkim się zdawało,
> Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało...

kiedy jesteśmy w obliczu narodzin wspólnej duszy, ogarniającej grono myśliwych, zasłuchanych w muzyce na rogu bawolim. Wszędzie, w wyłuszczonych wypadkach, a zatem przed obrazem, któremu przypatrujemy się w liczniejszem kole, i rozkołysani rzewną melodyą, wydobywającą się z pod czyjejś ręki, i jako owe echo, które dęby powtarzały dębom, bukom — buki, odpowiadający na grę Wojskiego, wszędzie stanowimy bierny materyał, oczekujący mistrza, któryby podchwycił zręcznie te pierwiastki przebudzone i zaczął wygrywać na naszej jaźni, zasklepionej w szerszej, bo zbiorowej. Dotychczas zachowujemy się, jak bezczynnie spoczywająca bryła marmurowa, którą ktoś zdoła natchnąć ideą — naturalnie nie dowolną, ale harmonizującą z naszem podnieceniem. Pytanie to posiada nietylko interes teoretyczny, ale równie doniosłość praktyczną. Mężowie stanu, kiedy w parlamencie przeprowadzają swoje plany, wygrywają właśnie na tym instrumencie jaźni zbiorowej: naprzód stwarzają go śród słuchaczy, później zaś korzystają z odruchowości tego jestestwa *spinal et gangrinaire*. Nawet zwykły kuglarz to czyni, gdy przed publicznością popisuje się swoimi figlami. W ciągu wieków mistrzowie kunsztu prestidigitatorskiego nagromadzili drogą empiryi sporo doświadczenia i zbudowali całą umiejętność oddziaływania na widzów. Może są to dzisiaj jedyne osoby, działające z zupełną świadomością celów i kształcące się w takiej sztuce. Wiedzą, jakie ruchy lub półsłówka zbijają najskuteczniej z tropu przyglądającą się publiczność, jaki wyraz twarzy należy przybrać, ażeby wywołać pewien pożądany dla siebie skutek. Szczególna ta wiedza przechodzi z jednego pokolenia na drugie, jako tradycya ustna, udzielana za pośrednictwem słów i żywego przykładu; kuglarze bowiem podobnie się kształcą w przepisach tej empiryi psychicznej, jak my pobieramy lekcye tańców lub śpiewów. Magik wie z doświadczenia, że kiedy pragnie wywrzeć na obecnych wrażenie stosowne, to powinien przykuć do siebie całą uwagę widzów, „wejść z nimi w stosunek." Robert Houdin, jeden z wybitniejszych zawodowców sztuki prestidigitatorskiej, czyni uwagę, na którą każdy przystanie, komukolwiek wypadło przemawiać publicznie. Powiada on, że kuglarz musi przedewszystkiem posiadać „dobre oko." Niektórzy — oświadcza on — mają wzrok bojaźliwy, chwiejny, niepe-

---

Arjos.

On jest jeszcze zarozumialszy, niż ty przypuszczasz. Opowiadał nam raz, jak łapał dzikie kaczki. Gdy je upatrzył na rzece, zanurzał się w wodę po szyję, kładł na głowę kępę trawy i tak podpływał do stada, nie płosząc go: potem wciągał od spodu za nogi każdą kaczkę pod wodę, dusił i zatykał za pas. Tak kolejno zbierał wszystkie. A wiecie—zapytał—kto tego sposobu nauczył się odo mnie? Księżyc. On także zanurza się co wieczór w wodę nieba, kładzie sobie na głowę błyszczącą czapkę, podpływa niedostrzeżony do gwiazd i wyławia je przez noc do rana. Dlatego to czasem, gdy trafi na większą głębię, widać mu tylko brzeg czapki.

Orla.

Śmieszny głupiec.

Arjos.

Tak przekonany o swoj potędze i wszechmocy! Zdaje mu się, że niepotrzebnie siada do łodzi, bo mógłby morze okraczyć nogami, że ziemia drży z obawy, ażeby tupnąwszy mocno, nie przedziurawił jej na wylot, że drzewa rodzą owoce ze strachu przed jego gniewem, że wszyscy ludzie żyją tylko z jego łaski. Oszalał w zuchwałej pysze i dlatego tak nas zawzięcie ściga. Niech ściga, wprzódy sobie zębami własne ucho odgryzie, niż nas upoluje. Jeszcze grasuje w tej okolicy, za kilka dni jednak posunie się dalej. Wtedy my przemkniemy się wstecz drogą jego pochodu i gdzieś zapadniemy w puszczy.

Orla.

Ach, mój Arjosie, gdyby to już raz osiąść stale!

Arjos.

I ja tego pragnę. Jak tylko upatrzę ostęp leśny zupełnie bezpieczny, zbuduję domek, sprowadzę dzieci i będziemy sobie żyli wszyscy razem. Do żadnej gromady przyczepiać się nie chcę.

Orla.

O tak, tak.

Arjos.

A jeżeli połączymy się z jakąkolwiek, to tylko z taką, w której mężczyźni mają swoje kobiety, siedzą na jednem miejscu i nie prowadzą ciągłych wojen. Byłoby nam dobrze śród Podlotów, ale oni nie przyjęliby nas z obawy przed Alrunem. Co tam! Świat jest rozległy, nikt jego krawędzi nie widział. Da nam przytułek!

Orla.

Jakże my wtedy będziemy szczęśliwi! Dusza śmieje mi się do tej nadziei. Ty codziennie pójdziesz na polowanie lub łowy ryb, ja z dzieciuchnami pozostanę w domu i przygotuję wam jedzenie. Wreszcie małe urosną, będzie nas czworo.

Arjos.

Tylko czworo?

Orla.

Może więcej.

Arjos ucałował zalotnie uśmiechniętą.

Arjos.

Z pewnością więcej.

Orla.

Nasz syn przybierze sobie potem ładną i dobrą dziewczynę, a córka — dzielnego chłopca. Wtedy będzie nas bardzo dużo... mała gromada...

Arjos.

No, rozwiąż Orlu taką zagadkę: co to za brat i siostra, którzy ciągle wzajemnie się rodzą i umierają?

Orla.

Nie wiem.

Arjos.

Domyśl się.

Orla.

Nie mogę.

Arjos.

Musisz. Dopóki nie zgadniesz, będę cię całował.

Orla.

Owszem, karz jak najdłużej.

Arjos.

Zobaczysz, czy nie poprosisz o litość.

Arjos chwycił ją w swoje objęcia i całą obcałowywał z wzrastającą namiętnością.

Orla

Ale nie tak mocno... Nie wytrzymam... Arjosie... kąsasz mnie... Usta twoje strasznie mnie łechcą... Przestań na chwilę... mój dobry...

wny: kiedy ktoś z nimi rozmawia i patrzy im prosto w oczy, doznają zakłopotania i odwracają głowę, unikając prostego spojrzenia. Taka lękliwość nie wyjdzie na dobre nikomu, kto ma występować publicznie, bo ubezwładnia go i nie pozwala zapanować nad słuchaczami, tj. nie stworzy on owego niespokojnego a przecież istotnego jestestwa, które nazwaliśmy jaźnią zbiorową, i nie zdoła na niem wygrywać. „Trzeba—powiada mistrz sztuki kuglarskiej— posiadać spojrzenie szczere i żywe, które śmiało idzie na spotkanie widzów i przykuwa ich wzrok do siebie. Tylko wtedy zrodzi się wzajemna sympatya i dobry artysta może skierować wzrok swój wszędzie, gdzie mu się podoba." Kuglarzowi idzie o figle, ale apostołom o coś więcej. Jaźń zbiorowa, którą oni powołują do życia, odznacza się jeszcze wyraźniejszą spójnością. „W samym środku obozu—opisuje Dixon—młody kaznodzieja, stojąc na pniu, wygłasza z całych sił budujące kazanie. Słuchacze podnieceni i rozgrzani, są to przeważnie fermerzy z bliższych i dalszych stron... Krzyki i łkania przerywają mowę kaznodziei, na jego gesty i pantominy słuchacze odpowiadają jękami. On zaś, nie dając sobie ani chwili wytchnienia, ciska wciąż głosom przeraźliwym i ryczącym straszliwe gromy, huragan zaklęć i groźb biblijnych. Ludzie, otaczający natchnionego marabuta, wybledli, ze złożonemi rękoma, z ustami zaciśniętemi, wyglądają jak grzesznicy. Kobiety biegną przez pola, wznosząc ręce do góry, spowiadają się na cały głos, padają na ziemię, mdleją w paroksyzmie nerwowym, piana z ust im się toczy, oczy na wierzch wychodzą... kilku obecnych wpada w chorobę, kilku umiera w obozie!"

Kuglarz świadomie, kaznodzieja swoim zachwytem stwarzają jaźń zbiorową. Gdzieindziej rodzi się ona sama przez się, żywiołowo, pod wpływem idei, zaklętej w barwy na płótnie, w dźwięki na papierze. To znowu powstaje w powszechnej panice, radości, uniesieniu. Niekiedy rozproszoną jest w przestrzeni, tak iż istnieje tylko w duchu, ale nie ma widomego ciała—jak sól, rozpuszczona w roztworze, która jest tam przecież, ale jej okiem nie zdołamy rozpoznać w wodzie. Czasem wchodzi ona w społeczeństwo, jako widoma gromada, wyodrębniona od reszty fizycznie a ogarnięta żądzą zbrodniczą lub ekstazą mistyczną. Tłum posiada nieraz widomą głowę — kogoś, kto przerósł innych i bezwiednie tam drgające instynkty przybiera w mowę członkowaną lub daje inicyatywę czynu. Różne to wszystko postacie i różny charakter jestestwa zbiorowego, ale podstawa duchowa jedna. Kilkakrotnie robiono analizę tego stworzenia kolektywnego i rzecz dziwna, zawsze zwracano uwagę jedynie na pobudkę naśladowczą. Ludzie zawsze byli porównywani z manekinami: gdy jeden podniesie głowę, inni to czynią, ktoś wyda z piersi swojej okrzyk, inni natychmiast mu wtórują. Naturalnie naśladownictwo odgrywa rolę ogromną w jaźni zbiorowej. Pewne gromady nie są niczem innem, jeno objawem epidemii duchowej. Demonomanie w klasztorach, — zakonnice tłumnie dotknięte obłędem, które jak gdyby ktoś zamienił je na owce, beczały jak trzoda, tuliły się do kątów i brykały; epidemie miauczenia i manii wiedźmowskiej, dzisiejsze szały mody, we wszystkich tych wypadkach mamy przed sobą wygórowane zjawiska naśladownictwa. Może poprzestawanie na podobnego rodzaju faktach doprowadziło między innemi do jednostronnego poglądu, że w jaźni zbiorowej naśladownictwo jest wszystkiem. Ale głębsza analiza odkrywa tam jeszcze inne żywioły. Kiedy myślą przeniesiemy się do knieji, rozbrzmiewającej echem muzyki Wojskiego i spojrzymy na myśliwców, zasłuchanych w grze jego, to odrazu zrozumiemy, że ów nastrój ogólny nie powstał drogą naśladownictwa, a przecież dusza zbiorowa istnieje! *L. Krzywicki.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

J. A. Froude: *English Seamen in the Sixteenth Century.*

Zmarły w przeszłym roku historyk J. A. Froude uważany jest za angielskiego Micheleta, ze względu na piękno formy i artyzm stylu. Tylko że kierowały nim nie namiętności humanitarne, lecz zupełnie innego rodzaju upodobania: miłość wielkich rozbójników. Przedstawimy dla przykładu treść ostatniego dzieła historyka, o piratach angielskich XVI stulecia. Froude ani chwilę się nie waha uważać tych śmiałych rabusiów za twórców angielskiej marynarki i angielskiej wielkości. Autor uniewinnia swych bohaterów, powołując względy nienawiści religijnej i użyteczności społecznej. Mszczono się na majtkach hiszpańskich, którzy zresztą nie mieli nic wspólnego z Inkwizycyą, za jej barbarzyństwa względem protestantów angielskich. Z drugiej strony nie ma nic złego w tem —twierdzi Froude—iż marynarka angielska pierwsze swe tryumfy odniosła z handlu mięsem ludzkiem. „Gdyby nie było handlu niewolników, nie mielibyśmy kawy!"—odpowiada przekonywająco autor na zarzuty „sentymentalistów." Ze względu na ten argument kwestya wydaje mu się ostatecznie rozstrzygniętą. Jeżeli zaś handel niewolniczy był konieczny, to nie dziwnego, iż trzeba było robić zasadzki na negrów, chwytać ich i sprzedawać. „Rasa ta—dodaje autor z prostotą—dzika w stanie natury, może być przyswojoną na równi z bykami i baranami."

Ta moralność utylitarna znajduje zresztą swe usprawiedliwienie w skutkach: „podczas gdy Francya ma skrzydła obcięte, Anglia panuje na falach." Niechaj więc będą błogosławieni rabusie, którzy grabili i mordowali na morzach i w ten sposób założyli podstawy angielskiej potęgi!

Rozejrzyjmy się bliżej w głównych epizodach tej zbójeckiej gospodarki. W środku XVI stulecia pierwszą potęgą morską była Hiszpania, następnie szła Francya, o Anglii mowy jeszcze nie było. Ten kraj, zupełnie rolniczy, posyłał nawet swą wełnę do Holandyi dla przędzenia. Kilka statków szło do Irlandyi dla połowu ryb; kilka do Marsylii po wino—ot i wszystko. Położenie się zmieniło dopiero za Elżbiety, gdy namiętności religijne purytanów rozbudziły prześladowania Filipa II. Katolicy byli bogaci, ich statki bruździły morze i mogły być łatwą zdobyczą odważnych. Anglia stała się gniazdem piratów i handlarzy niewolników. Pociąg niebezpieczeństwa i nadzieja zysku rozbudziły w niej starego ducha skandynawów. Elż-

---

Arjos.

A zgadniesz?

Orla.

Sprobuję... poczekaj... Jak mówisz? Siostra rodzi brata, a brat siostrę? Nie... to przecie jest niemożliwe...

Arjos.

Będę dalej całował.

Orla.

Ach, nie tak okrutnie... Patrz, . mam już na ciele czerwone plamy... Arjosie... litości!

Arjos.

Widzisz, że się ukorzyłaś. Teraz ci wytłomaczę: siostrą, która rodzi brata, jest noc, a bratem, który rodzi siostrę— dzień. Czy nie tak?

Orla.

Prawda.

Arjos.

A wiesz, dlaczego ci dałem tę zagadkę? Dlatego, że dotąd panowała nam noc, a teraz rozpocznie nam panować jej syn, dzień, długi, ciepły, jasny, tak pogodny, jak ten dzisiejszy...

Orla.

Co to? Słyszę jakieś nawoływania. .

Arjos.

I mnie się zdawało... Wyjrzę!

Wysunął głowę z groty i cofnął się nagle.

Jezioro otoczone... Alrun!

Widok 14.

Od wierzchu kotliny, na dnie której leżało uśmiechnięte zalotnie do słońca jezioro, wojownicy przesiąkali przez gęstwinę ukryci, jak krople zdradnej wody. W miarę wszakże opadania coraz niżej i przysuwania się ku sobie, nie korzystali z osłon gałęzi, wyprostowali zgięte ciała, podnieśli włócznie i zwarli swój łańcuch krótkimi pokrzykami. Gdy Arjos ich dojrzał, ścisnęli już prawie brzeg jeziora nieprzerwaną obręczą, którą spajał Alrun, postępujący wolniej od innych z Itamem, Zmikiem i czeredą pachołków do usługi. Miał on na głowie osadzony pęk czerwonych piór, między którymi nad czołem sterczał czarny róg bawoli; opiętą rudą maskę z płata ludzkiej skóry, której przecięcia dla oczu i ust okrążone były ciemnemi obwódkami; całe ciało pokrywały jaskrawo malowane smugi i wizerunki. W ręku trzymał krótkie drzewce, w cieńszym końcu nabite ostrzem dzidy, w grubszym — kamieniami. Zszedł z góry, w miejscu przeciwległem kryjówce Arjosa i Orli; rozejrzał się naokoło, zatrzymał wzrok na skale, leżącej w jeziorze i wydał straszny ryk, który obleciał donośnem echem wokoło góry i lasy.

Alrun.

Tam?

Wykrot.

Tak. Siedzą w grocie, której wylot zwrócony jest do jeziora.

Zmik.

Podziękujmy naprzód bogom za to, że nas tu doprowadzili.

Alrun.

Tu nas doprowadził Wykrot, a nie bogowie, którzy albo nie znali kryjówki zbiegów, albo kpili sobie z twoich modłów.

Zmik.

Jak chcesz, Alrunie. Ostrzegam cię jednak, że bogowie okazują nieraz swą moc wtedy, kiedy o niej ktoś zupełnie wątpi.

Alrun.

Więc rób, co chcesz.

Itam.

Zaręczam, że oni byliby najbardziej zadowoleni, gdybyś im Alrunie ofiarował Zmika, którego tak kochają.

Alrun.

Ułóż Zmiku i rozpal stos, na którym poświęcimy bogom Arjosa.

Zmik ułożył wysoką stertę gałęzi i drewien, którą podpalił. Ogień, ująwszy się żeru, buchnął słupem ciemnego dymu.

Ty, Wykrocie, każ naszym ludziom wydobyć z groty zbiegów. Jedni wejdą na wierzch skały, drudzy podpłyną do otworu. Oboje wziąć żywcem i przyprowadzić do mnie. Tu czekać ich będę, ażeby on, idąc na miejsce kary i widząc ten stos z daleka, dłużej drżał przed kaźnią, a ona przed mojemi ramionami, które ją po nasyceniu się uduszą. Zmiku, przygaś ogień, niech drobne dzioby płomienia nie pożrą tego zbrodniarza odrazu, lecz szczypią go, kłują, dziurawią, szarpią, zjadają powoli.

bieta, jakkolwiek skojarzona z Filipem pokrewieństwem i ugodą, spoglądała na to przez palce, i owszem, sprzyjała śmiałkom.

Nawpół dzicy celtowie Irlandyi ukrywali ich oręż, żony i skarby, zresztą sprzedawali często łup wzięty z hiszpanów w samym Londynie. Niektórzy zaciągali się do floty królewskiej i byli chętnie przyjmowani, zdobywali nawet odznaczenia: jeden ze słynnych zbójów morskich, Neo Horsey mianowany był baronetem i gubernatorem wyspy Wight.

Lud także sprzyjał piratom. Była wówczas szeroko rozpowszechniona myśl, iż morze bezgraniczne do nikogo nie należy: króluje na niem najsilniejszy, sam sobie wymierzając sprawiedliwość. Myśl ta utwierdziła się w umysłach prostych przez potężnie rozbudzone namiętności religijne. Inkwizycya święta bardzo często chwytała i męczyła majtków angielskich podejrzanych o herezyę. W r. 1581 spalono 26 tego rodzaju „herotyków.“

Anglicy odpowiadali zemstą. Była to wojna zażarta nie dwu państw, lecz ich obywateli. Sir Thomas Cobham schwytał na morzu Biskajskiem statek hiszpański i kazawszy całą załogę zaszyć w wielkim worku, wrzucił do morza. Wieszano, topiono, zarzynano hiszpanów bez miłosierdzia. Było to podczas pokoju. „W ten sposób—powiada Froude—wytworzyło się pokolenie ludzi odważnych.“

Ludzie ci znaleźli wkrótce szerokie pole dla swej działalności. Mianowicie: w Ameryce ciż sami anglicy i hiszpanie, nie jątrzeni przez Inkwizycyę, znajdowali się w stosunkach najserdeczniejszych, ze względu na handel niewolników, anglicy chwytali ich i sprzedawali hiszpanom.

Handel prowadził zgodę tam, gdzie religia siała zatargi. W tej sprzedaży ludzkiego „bydła“ odznaczyli się szczególnie John Hawkins i Francis Draks. Ten ostatni jest chlubą narodową; jego portret dotychczas wisi w Greenwich'u.

Pierwsza podróż Hawkinsa zakończyła się szczęśliwie połowem trzystu negrów; sprzedał ich hiszpanom, zapłaciwszy znaczny haracz podatkowy do kasy królewskiej; pomimo to zdobył olbrzymie zyski. Sława jego szybko się rozeszła po Anglii: stało się jasnem, iż handel negrami jest daleko zyskowniejszy, niż grabież statków hiszpańskich na morzach Europy. Masa awanturników przeniosła się na wody bardziej odległe i bezpieczniejsze, jakkolwiek ocienione krzyżem hiszpańskim. Ponieważ zyski były obfite, Elżbieta także przyjęła czynny udział w tych szczytnych przedsięwzięciach; na własny swój koszt przysposobiła kilka okrętów dla tej ekspedycyi. Na jej czole znajdował się znowu Hawkins. Towarzyszyły mu pobożne życzenia kraju i królowej. Powrócił obarczony złotem; Elżbieta wzięła połowę łupu i wysłała milego człowieka na nową wyprawę. Tym razem nie wszystko poszło tak gładko.

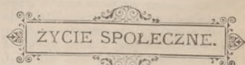
Zaskoczony przez burzę w pobliżu Meksyku, Hawkins puszcza się do pierwszego portu, jaki napotkał i tam stara się uchodzić za admirała Basana, który był właśnie wysłany dla ścigania piraty angielskiego. Tymczasem sam Basan powraca i znajduje własny swój port zamknięty. Zaczęto prowadzić układy, z obydwu stron wymieniono przysięgi pokojowego załatwienia sprawy. Pomimo to, gdy noc nastąpiła Basan napadł na swego przeciwnika, który po walce bohaterskiej zdołał się wymknąć z zasadzki, ale na podziurawionym statku. Sto osób z załogi poświęciło się dla uratowania wodza: odstawiono ich na brzeg, gdzie wpadli w ręce hiszpanów i zginęli.

Hawkins po licznych jeszcze przygodach powrócił do Anglii i sprawował przy Elżbiecie urząd ministra marynarki—aż do śmierci.

Pozostawił jednak po sobie godnego następcę. Był nim Francis Drake młody i nieznany jeszcze, gdy towarzyszył Hawkinsowi w jego wyprawach. Teraz przewyższył starego piratę o całe niebo w ambicyi i geniuszu. Stał się ojcem i założycielem potęgi angielskiej na morzu. Elżbieta pożyczyła mu kilka statków nader wątłych i drobnych. Na tych łupinach Drake przedsięwziął jedną z największych wypraw, prowadząc garstkę ludzi pod nieznane gwiazdy w r. 1572. Wylądowawszy w pobliżu Panamy, ograbił karawanę hiszpańską, naładowaną złotem. Zdobycz była olbrzymia. Powrócił z nią do Anglii. W r. 1577 puścił się powtórnie w drogę, z projektem okrążenia całej Ameryki, na kilku lichych okrętach. Na jednym z nich znalazła się garść szpiegów hiszpańskich. Ich dowódcy Drake własnoręcznie ściął głowę. Tak dojechali do Ziemi Ognistej. Kapitan jednego z okrętów, Winter, przestraszony odległą wyprawą, opuścił Drake'a: uciekł. „Miał serce kury“—powiada Froude. Przybliżając się do Valparaiso Drake ograbił statek hiszpański, na którym znalazł moc złota, toż samo w pobliżu innej miejscowości i później Limy. Jednocześnie kupował i sprzedawał „bydło ludzkie.“ Wszędzie posługiwano się obłudą i chytrością, udając spokojnych kupców, albo też przyjaciół hiszpanów, aby się zbliżyć do ich statków i ograbić. Puszczono w pogoń za Drake'm trzy okręty wojenne, ale nikt nie śmiał się zbliżyć. Imię jego siało postrach. Uważano go za dyabła. Powrotną drogę ku Anglii znaczył krwawym śladem morderstw i grabieży. Gdy powrócił do Anglii, przyjęto go, jak bohatera. Elżbieta zabrała znaczną część łupu, Drake'a mianowała baronetem. Nosiła w uroczystości koronę szmaragdową, którą on jej darował. Ten potężny łupieżca grabił później resztki Armady i podjeżdżał aż do Hiszpanii, aby urągać dumie upadłej Filipa. Ci złodzieje i handlarze negrów stali się zbawcami ojczyzny.

Froude, na wzór Carlyle'a, uważa, iż historya jest robiona przez wielkich ludzi: usuwa ich z pod praw zwykłej moralności i ma dla ich zbrodni tylko słowa podziwu i uwielbienia. Dzikie piękno nieludzkiej energii, tych piratów, całkiem go podbija. Takie są zamiłowania Froude'a. Kochał jeszcze Henryka VII. Natomiast nienawidził wszystkich przedstawicieli kościoła katolickiego, głównie Maryi Stuart, a także humanistów.

L. W.



O PRAWA CZŁOWIECZE I OBYWATELSKIE.

Nie poszedłem na rant dla zasilenia funduszów bon i nauczycielek, pomimo, że go urządzili literaci zacni i sympatyczni koledzy. Nie poszedłem, ale natomiast otrzymałem tegoż wie-

---

Ja muszę napoić oczy jego męczarnią, uszy — jego jękiem, węch — swędem pieczonego ciała. On mi nie może zniknąć prędko, bo ja go długo szukałem. O piękna Orlo, urocza żmijo, wprzódy popatrzysz na katusze swego kochanka, zanim padniesz do nóg moich z błaganiem o litość. Ja ciebie... Co? Wypłoszone łabędzie ku mnie płyną i chcą się oddać same?

Nagłym ruchem silnie odepchniętej tratwy Arjos i Orla odpłynęli od skały. Okalająca brzegi gromada, ujrzawszy ich, wydała dziki wrzask. Na środku jeziora Ajos zatrzymał tratwę, odrzucił wiosło, ujął Orlę w zwoje objęcia i spoił się z nią długim pocałunkiem. Alrun krzyknął:

Mierzcie w niego!

Sypnęły się ze wszystkich stron strzały, ale żadna nie dosięgła splecionych w uścisku kochanków. Zanurzona w wodzie tratwa ginęła pod ich stopami. Stali oni na zielonej powierzchni jeziora, pod lazurowem sklepieniem nieba, w łagodnych blaskach porannego słońca, jak dwa żywe posągi miłości. Wreszcie, ciągle nierozdzieleni, z ustami na ustach, wsunęli się wolno w toń jeziora i znikli, owinięci jego miękkiemi falami. Gromada zawyła, a i w tem wyciu panował nad innymi głos jej wodza. Alrun zerwał maskę z twarzy, zdarł pióra z głowy, wskoczył w wodę, jak gdyby chciał ścigać uciekających i ryczał.

Oddaj mi ją, oddaj, jezioro! Tylko ją wypluń! Wrzucę ci za nią w gardziel sto innych ciał! Nie chcesz? Ochłostajcie je, spalcie, wypijcie do dna!.. Ścinajcie lasy i zapalone ciskajcie w tę podłą wodę, niech ją ogień ugotuje na parę, którą wiatr rozdmucha!

Zmik

Obrażeni bogowie okazali moc swoją.

Alrun.

Milcz, podły psie, który się do nich łasisz, a oni nie chcą cię nawet kopać nogami... Wykrocie, dzielny chłopcze, ty ich wytropiłeś dwa razy, ty ich wynajdziesz jeszcze.

Wykrot.

Leżą tam... utonęli.

Alrun.

Przynieś mi, przynieś Orlę, niech przynajmniej dotknę jej martwego ciała.

Itam.

Oni wiedzieli, co robią: z pewnością w dnie jeziora jest dziura, przez którą uciekli do drugiego świata.

Alrun.

Uciekli, mówisz — i tam żyć będą? Wykrocie, spuść się na dno, znajdź tę dziurę, przemknij przez nią, dogoń ich, zabij Arjosa, pochwyć Orlę i trzymaj ją, dopóki ja do drugiego świata nie przybędę. Dalej, prędko, bo znowu się skryją! A może ci wprzódy głowę roztrzaskać?

Zmik.

Zmiku, nazwij mnie głupim, pluń na mnie — bo ja zgubiłem Wykrota.

Wykrot rzucił się w jezioro i utonął. Alrun czekał chwilę zamyślony, wreszcie nałożył maskę i pióra, ujął grot i zwrócił się do gromady.

Arlun.

Krwi, dużo krwi, tyle, ile w tem jeziorze wody! Za mną!

Gromada zebrała się w szeregi i wraz ze swym wodzem wbiła się w zarośla. Nad nią szybował przodem niewidzialny duch—Topan.

Widok 15.

Wygładzone ciszą z najdrobniejszych fal jezioro leżało jak lśniąca płyta grobu. Otaczające ją tłumnym orszakiem drzewa i krzewy oblekły się kirami nocy, niebo zapaliło swe światła, niby żałobne pochodnie. Powoli wszedł między nie księżyc i na miejsce wiecznego spoczynku Arjosa i Orli rzucił garść srebrnych blasków. Nagle śród tej jasności stanęły cztery białe, skrzydlate duchy, Rod, Elion, Tor i Kres. Pod ich dotknięciem otworzyło się łono jeziora i wyszły z niego dwa cienie, Arjosa i Orli, które duchy ujęły i w przestrzeń z niemi odleciały.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

czora list następującej treści: „To się chwali pańskim towarzyszom, że tak gorliwie wzięli do serca dolę naszą. Jesteśmy biedne pod każdym względem; dźwigamy na sobie jakieś straszne przekleństwo losu i urządzeń ludzkich: „bodajbyś dzieci cudze uczył!“ I oto cała groza tego przekleństwa gniecie nas bezustannie. Uczymy cudze dzieci za trochę marnej zapłaty, strawy i kąt—dosłownie, bo najczęściej dają nam kąt w pokoju dziatwy, nad którą po trudach całodziennych trzeba i w nocy czuwać. Czasem darzą nas łaską, przeplecioną wzgardą i lekceważeniem. Należymy do „służby domowej.“ O tyle wszakże jesteśmy w gorszem położeniu niż kucharki i pokojówki, że te ostatnie mają trochę czasu na własne rozporządzenie i nie odczuwają wzgardy, policzków moralnych pod dachem wielkopańskim. Gdy główki panienek lub rozpieszczonych chłopców naładujemy odpowiednią sumą francuzczyzny, angielszczyzny itd., gdy wyćwiczymy pamięć dostatecznie dla popisów przed gośćmi, gdy ręce nałamiemy jako tako do klawiatury i przyzwoitego trzymania przy stole — kąt zagrzany musimy opuszczać i szukać gdzieindziej zajęcia, badać i poznawać na nowo charaktery dziatwy, zaskarbiać ufność i połykać lekceważenie pracodawców. Gdy nareszcie zdrowie odmówi nam posłuszeństwa, mamy prawo kołatać do przytułków dobroczynnych, chociaż nie zawsze one przed nami się otwierają, według przepowiedni biblijnej. Więc wzgarda, lekceważenie, liche wynagrodzenie ciężkiej pracy a na starość lub po przedwczesnem starganiu sił—nędza—to dewiza życia niejednej nauczycielki, lecz większości kobiet, którym się nie udało wyjść, lub „*dobrze* wyjść za mąż.“ Panowie urządzacie rauty dla nas. Dziękujemy wam za to i jednocześnie zasyłamy prośbę: naciskajcie przy każdej sposobności opinię publiczną, ażeby ona przyznała nam trochę praw człowieczych i obywatelskich.“

Skromne żądanie, tak dalece, że nawet Prus nie zgromiłby owej nauczycielki i nie nawymyślał od emancypantek lub feministek. Żąda ona w imieniu towarzyszek i pracownic z innych dziedzin tych okruszyn od płci panującej w życiu społecznem. Czemże to jest wobec roszczeń kobiet za oceanem lub na zachodzie Europy? Tam od dawna marzą o trybunie, na którą wstępować mają prawo, skoro „mogą wstępować na szafot.“ Ten ironiczny argument, wypowiedziany przez kogoś podczas walki o przywileje niewieście przed stu laty, mieści całą gorycz, rozżalenie tych, które chcą z równania praw dla próżności i chimery. I u nas sporo jest takich, które mając byt zapewniony i dużo kłopotu z czasem, chcą robić to samo, co mężczyźni. Doprawdy robią oni tyle rzeczy ohydnych, że nie warto ich naśladować. Ale nie o tych porywach z podkładem histerycznym i bodźcem sytości chcę mówić. List powyższy nasuwa mi inne obrazy: stanowiska moralno-materyalnego pracownic w naszem społeczeństwie. Położenie nauczycielki to tylko cząstka tych rzeczywiście *opłakanych* przez kobiety warunków. Zajrzyjmy do innych odłamów ich pracy najemnej, a wszędzie znajdziemy to samo: obok wyzysku materyalnego podeptanie ich godności. Widzą to nasi moraliści, stojący na straży! „ognik domowych“ i żywiąc dla niewiast sporo tradycyjnej „szarmancyi,“ każą im siedzieć przez życie całe pod „strzechą rodzinną“ i nie zaglądać do świata „nawskroś zepsutego.“ Na nieszczęście kądziel została już tylko w chatach włościańskich i to w zapadłych kątach zaścianka; a prząśniczki już nie siedzą „jak anioł dziewczęcki,“ wrzeciono ręczne zastąpiło fabryczne, więc prysła jedwabna wątła nić domowa, a z nią inna, obmotująca gniazdka i skrzydła pannom, rwącym się do odlotu za chlebem. Rozbiegło się wszędzie to ptactwo opierzone i nieopierzone, kołacze do wszelkich instytucyj zarobkodawczych, bez względu, że częstokroć uciążliwe warunki pracy przerastają ich siły. Mężczyzna, widząc towarzyszkę już nie w salonie, nie w cienistej altance, pod jaworem, lecz na ławie uniwersyteckiej, w fabryce, przy kasie, nad księgą buchhalteryjną—przeraził się i na gruncie współzawodnictwa ekonomicznego stracił dawną grzeczność towarzyską. Kobieta weszła na jego pole zapasów—nierycerskich, popsuła mu ceny, zniżyła wartość pracy. Wstrzemięźliwa, potulna, a zarazem niesłychanie pracowita, dała tę nieocenioną siłę wszelkim warsztatom pracy. Na domiar nieszczęścia dla mężczyzn, nie jest skłonną do nadużyć, szacherek rachunkowych, nie okrada kasy, nie ucieka do Ameryki, nie grywa w karty, nie hula, wogóle nie posiada tych nałogów, rozbudzających bez końca żądzę użycia i przez to popychających do przestępstwa. W tem przeciwstawieniu tkwi siła niewieścia, stąd wypływa postrach, siany w szeregach wszelkiego rodzaju pracowników. Jeżeli do tego dodamy skutki poboczne takiej „emancypacyi“ — silniej stawiane *veto* na wybryki mężczyzn, mniej skłonności do prania ich brudów przy ogniskach domowych—łatwo ocenimy pobudki gwałtownego protestowania wdzieraniu się kobiet do dziedzin pracy, uprawianych dawniej niepodzielnie przez płeć silnych i panujących.

Prawda, że współzawodnictwo obu płci sprowadza fatalne rezultaty: ową zniżkę wartości pracy. Ale jest to tylko jeden z wielu czynników pokrewnych, jako wytwór nienormalnego rozwoju w życiu ekonomicznem, że zatem i nadzwyczajną podaż pracy niewieściej potrzeba uważać za okres przejściowy. Należy tylko dążyć ku temu, ażeby okres ten możliwie najbardziej skrócić, a zarazem nadać kobietom prawa człowiecze i obywatelskie. Mogą one zdobyć je nie drogą jakichś kodeksów etycznych, hamulców, krępujących samowolę mężczyzn (zwłaszcza, że te prawa bywają deptane i przez kobiety, uprzywilejowane pod względem ekonomicznym), lecz przez zmianę systemu poszukiwania pracy produkcyjnej i przysposabiania się do niej. Nie potrzeba być nawet bystrym obserwatorem, ażeby dostrzedz charakterystyczną śród naszych kobiet jednostronność, wynikającą ze ślepego naśladownictwa lub braku dostatecznego uświadomienia warunków bytu. Panny z rozbitych lub podziurawionych naw szlacheckich, własności ziemskiej, przybijają do tej wielkiej wyspy—miasta, w którem, zdaje się im, że na skinienie ręki można chleb znaleźć. Tu przypominają sobie, co im dała pensya lub wychowanie domowe za lepszych czasów: trochę muzyki, francuzczyzny i najmniej—rachunków. I oto rozpoczyna się na gwałt poszukiwanie lekcyi pierwszych dwóch przedmiotów, albo miejsca „buchhalterek“ i inkasentek na podstawie znajomości elementarnych zasad arytmetyki. To samo czynią wdowy po urzędnikach i ich córki, wogóle kobiety, którym bieda w oczy zajrzała, gdy zabrakło ramion męzkich lub pracy dla nich. Doszło więc do tego, że dziś można znaleźć lichą nauczycielkę muzyki albo francuskiego za 30 a nawet 15 kop. (na godziny), buchhalterki zaś i tak zwane „sklepowe“ na kilkanaście godzin pracy dziennej za 10—15 rs. miesięcznie. Ale za to z wielkim trudem trzeba szukać prawdziwie i gruntownie ukształconej nauczycielki, posiadającej istotne zdolności pedagogiczne.

Gdy zastosowano u nas z powodzeniem metodę froeblowską, zyski paru zdolnych kierowniczek tych zakładów zachęciły mnóstwo kandydatek i naraz zrodziła się masowa produkcya nauczycielek—froeblówek. Młode panny po skończeniu kursu i otrzymaniu świadectwa, brały się nie do uczenia dziatwy, lecz innych panien—na nauczycielki, te zaś znowu szły w ślady swoich mistrzyń i tak bez końca. Dzisiaj więc bodaj mamy tyle froeblówek, ile drobnej dziatwy do uczenia, a natomiast bardzo mało prawdziwie uzdolnionych pedagogicznie. Tę zarazę nauczycielską widzimy także na innych polach: W ostatnich czasach kobiety żarliwie uczą się wyrobu krawatów. Zdawałoby się, że poszły drogą praktyczną, obrały niezależną dziedzinę pracy. W gruncie rzeczy nie chodzi im wszakże o uprawianie danej gałęzi rzemiosła. Po pośpiesznem nabyciu fachu, w ciągu najwyżej dwu tygodni, ogłaszają one: „Nauka robienia krawatów, kurs po rs. 5—10. “Tym sposobem wytwarzają się setki krawaciarek, których dążnością jest nie robienie danych przedmiotów, lecz uczenie tego „kunsztu.“ I oto bezcelowa praca, przyciągająca masę kobiet dla chwilowego zarobku, który z czasem się urwać musi, gdy zabraknie już kandydatek do nauki. Wtedy owe „wykwalifikowane krawaciarki“ rzucą się masowo do innego zawodu, po to, ażeby straciwszy sporo energii i czasu na współzawodnictwo, brnąć dalej w próbach, walce z niedostatkiem a często i poniewierką. Policzmy, ile dziś już mamy malarek na szkle i porcelanie, „terrakotówek“ itd., które także chcą uczyć a nie rozwijać pracę produkcyjną w zakresie swego fachu. Zresztą nawet te, które zastosowały sztukę do rzemiosła w praktyce, nie mają powodzenia skutkiem tego, że produkują na oślep, nie znając ani warunków, ani potrzeb rynków.

Mamy także masę retuszerek, licho płatnych. Zdolniejsze z nich (warszawianki) otrzymały posady w głębi Cesarstwa na warunkach bardzo korzystnych: po 80 do 100 rs. miesięcznie. Może ten fakt między innymi był właśnie bodźcem dla p. Maryi Borkowskiej do założenia obecnie w Warszawie „Szkoły fotograficznej dla kobiet.“ Zakład taki jest istotnie bardzo pożądany, zniesie bowiem dotychczasowy system „praktykowania,“ który polegał na tem, iż pracownice, nawet już posiadłszy dostateczną znajomość danego przedmiotu, ofiarowywały przez pewien czas przedsiębiorcom swoją pracę darmo. Ale niechże w przyszłości patentowane uczenice owej szkoły nie zajmą się na własną rękę nauczaniem, bo będzie to samo, co z froeblowszczyzną, krawatami itd. P. Borkowska dobrzeby zrobiła w interesie własnym i swoich wychowanek, gdyby się postarała o utworzenie przy szkole działu informacyjnego dla wyszukiwania kandydatkom posad odpowiednich.

Jak widzimy, dotychczasowe zabiegi kobiet naszych o stanowiska, nawet niezależne, są czynione przeważnie na oślep i skutkiem tego w znacznej mierze giną bezowocnie lub narażają na bolesne zawody. Cóż więc wobec tego należy robić? Iść tam, gdzie się skupili mężczyźni, wypierać ich z zajętych placówek, zniżać wartość pracy zaofiarowaniem własnej, borykać się z trudnościami zawodu nad siły niewieście. Taki program nakreśliła sobie pewna garść kobiet, kierowana nietylko potrzebą zarobku, ale i ambicyą. Więc na nich wsteczniey krzyczą: Wara! I gdyby okrzyk ten nie pochodził z płytkości, ciasnoty pojęć i egoizmu, można byłoby jemu w znacznym stopniu przyznać racyę. I my zawołamy: wara! — ale z innych pobudek i względów. Życie nam dowiodło, że kobiety nasze zajęły wybitne stanowiska na polu literatury i nawet nauki, że w dziedzinie ekonomicznej są również bardzo pożyteczne, ale tylko tam, gdzie ich siły nie ścierają się daremnie z mocą warunków nieprzyjaznych.

Są takie działy pracy, gdzie kobieta może stanąć obok mężczyzny i zaspokoić nietylko swoją ambicyę, ale całkowicie zdobyć „prawa człowiecze i obywatelskie.“ Jednem z takich rozległych pól w przy-

szłości będzie medycyna, do której ministeryalny ster oświaty ułatwi im drogę *). Tu nie zabraknie pracy, umiejętnie rozmieszczonej, a przy stosownej organizacyi pomocy lekarskiej współzawodnictwo nie wyrządzi szkody szeregom pracowników. Ale to należy jeszcze do przyszłości; inne zaś pola spoczywają odłogiem i jałowieją, podczas gdy nasze kobiety rozpraszają się na bezcelowe poszukiwania i próby, usiłując forsownie dostać się do wielkich rojowisk taniej sprzedaży pracy i godności. Policzmy, ile mamy w mieście emigrantek wiejskich, zsumujmy ich marny zarobek i zestawmy z tem bogactwom kraju, jakie dałoby się wydobyć z zupełnie zaniedbanych gałęzi gospodarstwa, np. ogrodnictwa, pszczelnictwa, warzywnictwa, racyonalnej hodowli drobiu, przemysłu owocowo-przetwórczego itd.

Oburzą się na mnie te panny, które wyobrażając sobie, że są stworzone do „szczytnych zadań życiowych,“ pracują za lichą zapłatę i upokorzenie, wyradnieją, tracą zdrowie, w wolnych chwilach „flirtują,“ a gdy się uda wyjść za mąż — rodzą dzieci słabowite i chore. Nie mogą się już one nawet pochwalić „buzią jak malina“ i zamiast wysnuć z siebie siłę moralną i materyalną, zamiast być dźwignią w ogólnym rozwoju, są tylko zdolne do przyjęcia na swe łono rozmarzonej skroni, do snów i gwarzeń w cichych kątkach.

Widzimy w ostatnich czasach tu i owdzie zarodki samodzielności i energii kobiet naszych; urządzają one bazary pracy swych towarzyszek, zapisują się do Towarzystwa przemysłu i handlu. Niechże to będzie początkiem uświadomienia celów i zadań pracy szerszej, nie rozbitej w usiłowaniach pojedynczych; niechże one stworzą jakiś ster, któryby im ułatwiał działalność, pozwalał dokładnie zapoznawać się z warunkami i z góry oceniać, o ile ta lub inna gałąź będzie produkcyjną, o ile wyroby ich tam albo gdzieindziej mogą uzyskać rynki zbytu. W ten tylko sposób potrafią zdobyć mocne stanowisko, na którem nikt się nie waży podeptać ich praw człowieczych i obywatelskich. Praca samodzielna i płodna odciągnie od pedagogii roje niepowołanych, a pozostawi na tem polu prawdziwie uzdolnione pracowice, które tym sposobem będą mogły własny byt poprawić i łatwiej bronić swej godności.

Zenon Pietkiewicz.

*) W r. p. rozwinęliśmy w osobnym artykule przyszły obraz działalności kobiet na tem polu.

JERZY GIŻYCKI.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Co czynił i uczynił Giżycki dla nauki, o tem świat uczonych zapomni pewnie prędko. Specyalne monografie o Schaftesburym i Humie podobały się w swoim czasie (1878—80) krytyce naukowej. Reszta zaś jego prac nie była przeznaczoną do gabinetu i biblioteki. Tutaj należą i u nas sympatycznie (1883 w przekładzie) przyjęte „Zasady etyki,“ rozszerzone w kilka lat później pod nazwą „Filozofii moralnej“ (przełożonej na angielski). Dalej przekłady, dokonane z dzieł amerykańskich etyków-praktyków: tłomaczenia mów moralnych Stouton Coit'a, Saltera, Adlera i in., drobny szkic o Kancie i Schopenhauerze (1888). Wreszcie ostatnie lata jego życia wypełniła całkowicie działalność publicystyczna. Wraz z kilku innymi — a w szczególności przy współudziale tajnego radcy Förstera — powołał do życia „Towarzystwo niemieckie kultury etycznej,“ o którem niejednokrotnie już była mowa w *Prawdzie*, wydawał pismo, poświęcone tej misyi p. t. „Kultura etyczna“ i sam pisywał prawie w każdym numerze. Przy każdej sposobności przemawiał w obronie prawdy i dobra, ocierał łzę nieszczęśliwym, zdzierał z „filantropa“ współczesnego maskę obłudy i wskazywał możliwe i rozumne drogi zbawcze.

Nie zapominajmy również, że tę działalność rozwijał człowiek od najmłodszych lat życia, złamany chorobą, tknięty wiecznym paraliżem. Pomyślmy, ile woli trzeba było, jakim płomieniem paliło się to życie wewnętrzne, które wytworzyło dość energii dla zdobycia wykształcenia wyższego i — stanowiska profesora. Przez lat 17 wykładał on w uniwersytecie berlińskim. Starczyło mu woli i cierpliwości, aby przez lat tyle prawie że codziennie kazać się zawozić na wózku do audytoryum, usadawiać na katedrze i znosić z niej; starczyło tych uczuć, aby prócz wykładów z „logiki i teoryi poznania“ albo z „etyki,“ prowadzić jeszcze wykład publiczny o „historyi etyki“ — obliczonej na warstwy szersze słuchaczów z innych wydziałów i z ulicy. Na to może się zdobyć tylko wielki charakter.

Zasady jego filozofii nie powinny zajmować nas tu dzisiaj. Zapoznawano z niemi czytelników. Nie są one zresztą odmienne od tych, które wyznaje wielka szkoła etyków angielskich — oryginalne, niezrozumiało. Są to zasady „eudemonizmu społecznego,“ najbardziej radykalnie pojętego, jasne i każdemu niezwykle łatwo do serca przemawiające. Kilka tylko notatek wystarczy, aby te rysy charakterystyki uwydatnić: „Stworzyć dobro i urzeczywistnić jego zwycięztwo — oto jest dzieło nasze, którego nie czyni za nas natura. — Człowiek rozwinięty zachowuje względem współbraci swoich, jako też względem całego wszechświata stanowisko jednakie, wolne, świadome siebie; to bowiem, co jest najwyższego w naturze, spoczywa w nim — wola...“ Tak oto brzmi dogmat: „zbuduj swe życie na celu moralnym,“ a tak znowu — nadzieja: „wierzymy, że przyszłe pokolenia będą lepsze i szczęśliwsze od nas..., że kiedyś zapanuje na ziemi państwo sprawiedliwości...“

Nie chodzi nam w chwili obecnej o tę szczyptę zasług, dla jakich wpuścić by miano Giżyckiego do panteonu nieśmiertelnych zdobyczy nauki, ale o człowieka, który siał „co dobre i wieczne i piękne,“ niepomny na swe siły karłe, zniszczone, na zawiść i złość tych, z którymi walczył lub do walki z nimi zachęcał.

Jest natomiast inne pytanie, ważniejsze może: dlaczego Giżycki pisał artykuły, wydawał pismo, dlaczego swe zdania w tłum ciskał, on, który o własnej sile zawlec się nie mógł z przed biurka do okna swego pokoju, aby spojrzeć na świat i ludzi... Zdaje nam się, że są dowody poważne, któreby dla zjawisk podobnych w świecie nauki, dziś już nader licznych (Huxley, Dargun, Guyau, Albert Lange), wskazać mogły tło wspólne. Gabinet uczonego obecnie zmienił nieco swój charakter dawniejszy. W celce mnicha nowoczesnego, zamkniętej od świata, czas wyrąbał okno, przez które płynie ciągła smuga światła dziennego, powiew z życia...

Leży przede mną z literackiej spuścizny po nim niewielka książeczka, w której pisał o Schopenhauerze. I gdy tak rzucam po raz ostatni okiem na te książki, broszury i zapisane papiery, zanim kropkę postawię, jak gdyby sama z siebie, układa się grupa z tych dwu ludzi. Co za różnica! Jeden: sybaryta i egoista, który nigdy nie umiał sobie odmówić najdrobniejszej nawet rozkoszy materyalnej, niekiedy cynik, zarozumiały aż do bezczelności, surowy względem innych, pobłażliwy dla siebie — ten człowiek był apostołem niewiary w szczęście ludzkie, pesymizmu nieubłaganego. A tu po drugiej stronie: człowiek cichy, skromny, jak ewangeliczna anielica, altruista aż do zapomnienia, aż do wzgardzenia sobą samym. Giżycki, niby ślepy Dühring, piszący o wartości życia, marzył o szczęściu powszechnem, żądał go dla ludzkości, przepowiadał jej ostateczny tryumf. W tej różnicy, której zawartości nie wyczerpujemy tutaj, mieściła się duża suma nieśmiertelnych zalet duszy seraficznej, która uleciała od nas przed kilku dniami.

P. O. R.

MARYAN ALEKSANDER BARANIECKI.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Dnia 27 lutego śmierć zrobiła wielką szczerbę w nielicznym szeregu pracowników na niwie naukowej. W Krakowie zakończył życie profesor Baraniecki, autor wielu prac matematycznych. Studya odbył w warszawskiej Szkole Głównej i już wtedy, jako słuchacz, ujawnił zdolności niepospolite, które stwierdziła rozprawa jego p. t.: „Teorya związku między pierwiastkami funkcyi pierwotnej i jej pochodnych.“ Zdobywszy następnie w Lipsku dyplom doktora filozofii, udał się do Moskwy, gdzie bronił rozprawy „O funkcyach hypergeometrycznych“ i złożył egzamin na stopień magistra czystej matematyki. Tam też przez pewien czas wykładał w szkołach prywatnych. R. 1878 w Warszawie otrzymał katedrę uniwersytecką w charakterze docenta prywatnego. Tu wykładał rozmaite części algebry i analizy algebraicznej. Niektóre zaś ugrupował i wydał w obszernem dziele p. t. „Teorya wyznaczników“ (kurs uniwersytecki, Paryż 1879 r.). R. 1885 objął katedrę matematyki w Akademii Jagiellońskiej. Obok mozolnej pracy pedagogicznej zmarły profesor był niestrudzonym na polu piśmiennictwa naukowego. Zasilał „Pamiętnik nauk ścisłych w Paryżu, napisał „Arytmetykę“ i „Algebrę.“ Ułożył plan wydawnictwa p. t. „Biblioteka matematyczno-fizyczna“ i żarliwie ją popierał, napisał dla niej „Arytmetykę“ (dwa wydania: 1884 i 1894) tudzież „Teoryę przecięć stożkowych“ (1885) wreszcie zachęcił do współpracownictwa innych specyalistów. Dzięki tej pracy i zabiegom, pod firmą „Biblioteki“ wyszło sporo książek pożytecznych z dziedziny naukowej. Baraniecki poświęcił także dużo czasu i trudu studyom nad zabytkami piśmiennictwa matematycznego polskiego; między innemi owocem ich było opracowanie wydania krytycznego „Algorytmu“ Klosa, najstarszego ze znanych dotąd podręczników arytmetycznych w języku polskim. Oprócz powyższych, zmarły profesor opracował sporo podręczników matematycznych dla użytku szkół galicyjskich. Ślepota i wogóle rozstrój organizmu, przerwały w ostatnich czasach jego płodną i pożyteczną działalność na niwie naukowej. Zmarł w wieku, który przeciętnie daje ludziom całą pełnię energii. Liczył 45 lat (ur. r. 1848).

ANDRZEJ PRUSZYŃSKI.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Wdn. 7 b. m. w Warszawie zakończył życie artysta-rzeźbiarz, którego prace, poświęcone wyłącznie sztuce, były nacechowane prawdziwym talentem. Przez lat wiele Pruszyński zwracał na siebie uwagę miłośników piękna i potrafił zająć wybitne miejsce w dziedzinie swej twórczości. Rzeźby jednak, wychodzące z pod dłuta ludzi utalentowanych, są u nas kosztowną zabawką, na którą mało bywa ochotników. Ponieważ artysta

oprócz ducha posiada i ciało, więc musi schodzić na padół potrzeb materyalnych i sidłać w nie swoje natchnienie. To samo było z Pruszyńskim. Dzieła, stworzone pod tchnieniem talentu, nie dały mu chleba. Otworzył więc zakład artystyczno-kamieniarski, w którym pogrzebał sztukę czystą. Wyrabiał pomniki, nagróbki, figury świętych, z pracy twórczej zeszedł do rzemieślniczo-wykonawczej. O ile tym sposobem wziął rozbrat z wyższym polotem i zubożył sztukę, o tyle znowu położył zasługi na innem polu. Prowadząc produkcyę „figur“ na wielką skalę, tamował rozrost partactwa, wytwarzał w szerszych kołach poczucie smaku, wprowadzał artyzm do „wyrobów kamieniarskich.“ Będąc kierownikiem przedsiębiorstwa, w którem dał zatrudnienie wielu ludziom, czuwał sam nad wykonaniem, pracował osobiście. W jego pomnikach i nagróbkach nie ma tej banalności, jaka wygląda z każdej lichoty, obliczonej na zysk, a służącej do przyozdobienia cmentarzów, świątyń i gmachów. Przeciwnie—w każdej takiej robocie zmarłego artysty, wykonanej na zamówienie, przebija artyzm.

Pruszyński urodził się w Warszawie r. 1836. Po skończeniu gimnazyum wstąpił do b. szkoły sztuk pięknych, gdzie odrazu ujawnił wybitne zdolności. Po opuszczeniu tego zakładu przez kilka lat pracował u Jana Tatarkiewicza, a następnie u Władysława Oleszczyńskiego. Z Warszawy, jako stypendysta rządowy, udał się do Włoch i tam w rzymskiej Akademii św. Łukasza otrzymał najwyższe odznaczenie, medal klasy I. Jedną z prac jego, stanowiących wieczną pamiątkę, jest słynna postać Chrystusa, umieszczona na krużganku kościoła świętokrzyskiego.

LIBERUM VETO.

Pojedynki krwawe i niekrwawe. — Komedya oburzenia, wznowiona w Paryżu. — Umywalnie sądów honorowych. — Zimna krew. — Nowy okres sprawy Gościeradowa. — Zlot kruków. — Co nas zajmowało dawniej a dziś. — Sprawy gospodarcze w pismach peryodycznych. — Dwa rysy faktu: jałowe gadulstwo i ustawodawstwo drobnych interesików. — Materyał na torebki.

Ile razy „rozprawa honorowa“ skończy się na podziurawieniu niewinnych drzew w lasku lub lekkiem zadraśnięciu przeciwników, bliżsi i dalsi jej świadkowie są zachwyceni tym rodzajem przecinania zatargów osobistych. Ale gdy na twarze tych świadków tryśnie krew, a od kuli lub szpady padnie trup, natychmiast wznosi się okrzyk zgrozy przeciw pojedynkom i ktoś podejmuje myśl zastąpienia ich sądami honorowymi. Całą tę komedyę wznowiono świeżo w Paryżu. Dopóki z pola walki wracali obaj zapaśnicy — klaskano i bawiono się tem igrzyskiem; kiedy wszakże przed tygodniem wrócił tylko jeden, a drugi, redaktor *Journ. d. Débats*, pozostał na miejscu, zaczęto smutnym tonem grać na starym fleciku sądów honorowych. Chociaż znowu wniesiono do Izby projekt wyznaczenia osobnych kar za honorowe rozprawy orężne, rezultat wypadnie taki sam, jak poprzednio, tj. ci się nakrzyczą, tamci nadeklamują, a pojedynek będzie dalej tolerowanym przez prawo i wysławianym przez opinię publiczną. Ta zaś opinia lubi go „pasyami“ i gdyby pojedynkowano się publicznie, takie przedstawienia miałyby daleko więcej widzów, niż nawet wyścigi konne. Wtedy — jak przy walkach z bykami — nie wzdryganoby się może wobec obrazów śmierci, które dziś stanowią gorzką kroplę w słodyczy tych zadowoleń. Ponieważ jednak uczucia świata cywilizowanego nie mogą się zaprawić do podziwiania tych dramatów, odgrywanych w ustroniu, z wyłączeniem publiczności, więc muszą nastrajać się sentymentalnie i pragnąć pojedynku, ale bez opłakanych skutków. Gromada, czyli wielki człowiek powiada: bijcie się chłopaczki o wszelką urazę, to nawet jest bardzo piękne, ale pamiętajcie — ostrożnie! No i tak zwykle bywa.

Proponowane zamiast pojedynków sądy honorowe możeby się przyjęły, gdyby one posiadały w swych wyrokach tę nieubłaganą surowość, jaką posiada pistolet lub szpada, które nieraz chybiają, ale jeżeli trafią, to rzeczywiście ranią lub zabijają. Tymczasem owe sądy są to najczęściej umywalnie z ciepłą wodą i mydłem dla brudasów, warsztaty do wywabiania plam i cerowania dziur w wyszarzanych karyerach, sofistyczne operacye, dążące do złagodzenia ostrych granic między słusznością a niesłusznością, fabryczki do wyrabiania pytyjskich wyroków z nieuchwytnem znaczeniem. Takie trybunaliki najczęściej przynoszą korzyść tylko tym, którzy potrzebują życzliwego pobłażania. Jeżeli tedy jakieś społeczeństwo chce położyć kres barbarzyńskim walkom, niech wychowuje ludzi szczerze moralnych, kochających uczciwość a nienawidzących występku i gotowych śmiało bronić pierwszej a piętnować drugi. Chyba nie ma człowieka tak gwałtownego, któryby żądał pojedynku, gdyby opinia publiczna, a przynajmniej sąd honorowy nazwał jego oszczercę — oszczercą, a krzywdziciela — krzywdzicielem. Ale gdzie jest taka opinia i taki sąd!

Na szczęście dla krwi ludzkiej, która nie lubi się utleniać w przeciętych żyłach, krąży ona ogromną masą w ciałach ludzi, którzy nie dbają o żadne opinie i sądy. Niedawno *Gazeta sądowa*, a za nią inne pisma zrobiły zarzut mężowi zmarłej Z. Chełmickiej, że zaprzepaszcza jej legaty dobroczynne, zabezpieczone na majątkach, na których on posiada tylko prawo dożywocia. Był to pozew bardzo obciążający, a jednak p. Ch. nie odparł go ani jednem słowem zaprzeczenia. Teraz znowu wydobywają się na wierzch męty podobnej sprawy. Doniesienia dzienników o losach Gościeradowa kreślą nam wstrętny obraz stada kruków, unoszących się nad tym łupem, który według testamentu właściciela ma przypaść Towarzystwu dobroczynności. Brat nieboszczyka i dożywotnik, hr. E. Suchodolski, polecił swej administracyi zebrać dowody gospodarki dawnego zarządu. Na mocy tych dowodów — jak twierdzi *Kuryer warsz.* — wniesiono do sądu okręgowego w Lublinie skargę przeciw poprzedniemu rządcy, który ma być winnym strat około 400,000 rs. Nie dość tego. Dawny zarząd fabrykuje podobno sztucznych wierzycieli, którzy zgłaszają się ze swemi pretensyami do zmarłego, a raczej do jego majątku. Kruki więc zwabiają się coraz liczniej, a każdy żywi nadzieję, że uskubnie kawałek z tego olbrzymiego mięsa, które zostało darowane biednym. Ach, jakże by się tu przydała mocna ręka, którаby rozproszyła tę żarłoczną i drapieżną gromadę? Czy ona się znajdzie?

Gdyby przed trzydziestu laty w prasie naszej pisma literackie, a nawet dzienniki zaczęły rozprawiać o syndykatach cukrowniczych, taryfach zbożowych lub jęczmieniu browarnym, z pewnością abonenci zaprotestowaliby przeciw temu uroczyście. Zostawcie to przemysłowcom i handlarzom — zawołaliby zniecierpliwieni i znudzeni — nas obchodzą wyższe sprawy! Otóż te wyższe sprawy częścią skutkiem wyjałowienia się myśli, częścią skutkiem biedy a zarazem wyższej dojrzałości ekonomicznej, poszły w kąt, ustępiwszy miejsca filozofii chleba powszedniego. Dawniej szlachcic, wziąwszy *Kuryer* do ręki, parsknąłby śmiechem i zawołał do żony: „A to paradne! Telegrafem donoszą, po czemu w Berlinie jaja... Już im chyba zupełnie zabrakło materyału do pisania, albo sądzą, że między swymi abonentami mają najwięcej pachciarzów!“ Dziś szlachcic czyta tę wiadomość z uwagą i może mówi do żony: „A gdybyśmy zaczęli handlować jajami?“ Dawniej gazety zamieszczały na wstępie artykuły o uczonych kosach i alei bzowej w ogrodzie Botanicznym; dziś ktoby się odważył wystąpić z taką sielanką? Spoważnieliśmy i sprozaicznieli — okropnie! Mam pewne powody mniemać, że nawet recenzye teatralne — niegdyś ważna dziedzina naszych studyów! — są obecnie mniej czytane, niż sprawozdania z obrad Towarzystwa popierania rusk. przemysłu i handlu. Damy i panowie, zagłębieni w źródłach azotu lub karmieniu bydła zielonym łubinem — dziwny widok! Trzeba się jednak pogodzić z tym faktem, bo on jest... faktem. Nie usiłując też wcale wyważać go z naszego życia, pozwolę sobie rzucić nań promyk dyletanckiego światła. Przedewszystkiem za dużo w tym ruchu przypada na młócenie targanej słomy. Z wyjątkiem bardzo nielicznego grona takich ludzi, jak pp. Suligowski, Natanson, Dobrski i inni, którzy bądź zbadali przedmiot gruntownie, bądź wykonali szereg pouczających doświadczeń, większość gada, gada i gada „od śliny,“ nie mając na poparcie swych słów żadnych wyników własnej pracy. Ten rozstrzyga kwestyę łubinu, tamten — nawozów sztucznych lub wapnowania, gdzieindziej rozstrzyga się zagadnienia ogrodnicze, pomimo że żaden z oratorów niczego nie wypróbował. A więc w obecnym zwrocie ku sprawom ekonomicznym pragnęlibyśmy mniej słów a więcej czynów. Powtóre, sądzę, że kręcąc się w kółku rozmaitych drobnych interesików, nie możemy objąć spraw społecznych w szerszym zakresie i chcielibyśmy ująć życie w niezliczone karby obwarowań i przepisów, z których każdy posiadałby tę właściwość, że przeczyłby wszystkim innym. Komuś złamały się trzy stalówki, więc żąda, ażeby utworzono osobną komisyę dla zbadania trwałości stalówek; ktoś przewrócił się i stłukł sobie głowę o kraty cudzego ogrodu, więc wymaga, ażeby kraty zewnętrzne były wyrabiane z miękkiego materyału; ktoś trzeci musi płacić za jajka po 3 kop., więc proponuje, ażeby zabroniono handlarzom kupować jaja po wsiach itd. Gdyby wszystkie te życzenia uwzględnić, skodyfikować i nadać im moc obowiązującą, powstałby zamęt, o jakim szanowni prawodawcy nie mają nawet przybliżonego pojęcia. Ale to nam nie grozi i nie przeciw temu bronić się powinniśmy. Szkoda tkwi w ciągłem rozbijaniu się myśli ekonomicznej na drobniutkie egoizmy, które nie pozwalają jej ogarniać potrzeb większej miary i pracować nad ich zaspokojeniem. Niepodobna marzyć o tem, ażeby każda pretensya, każda korzyść jednostkowa przelewała się natychmiast w ustawę; trzeba wiele tych pretensyj i korzyści porównać, zważyć i najsłuszniejsze uznać za uzasadnione. Wtedy dopiero rzeczywiście możemy wpływać na poprawę naszych stosunków ekonomicznych. Przestańmy więc pisać kodeksy pod dyktandem każdego sklepikarza, który nie może sprzedać pieprzu, lub cukiernika, który radby płacić taniej za porzeczki — bo całe to prawodawstwo pójdzie na torebki dla tego pieprzu i porzeczek.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Radom. Doroczny jarmark w Skaryszewie odbył się, jak zwykle od lat kilku—ospale. Koni było więcej niż w roku przeszłym, ceny dość przystępne. Okazów zbytkowych bardzo mało, popyt wogóle był słaby. Dawniej jarmarki te

były prawie wyłącznie szlacheckie. Dziś coraz bardziej tracą one ten charakter, a natomiast nabierają cechy targu włościańskiego. To też największe miały powodzenie konie zdolne do użytku gospodarstwa małego, gdy natomiast „obywatelskie“ nie cieszyły się popytem. Za parę fornalskich płacono po rs. 200—300, gorsze włościańskie ceniono po 55—100, ładniejsze 150—250. Bryczki cenione po rs. 45—80, nie miały wielkiego powodzenia. Wózki z wasągami z pokoszami—po rs. 24—30. Ceny wołów opasowych i roboczych bardzo wysokie: za parę średniej dobroci żądano rs. 160, lepszych—200. Kupcy z Prus i Galicyi nabyli kilkadziesiąt koni. Ziemianie, ze względu, że tracą coraz bardziej powodzenie w Skaryszewie, gorąco życzą, żeby jarmark przeniesiono do Radomia, jako ogniska pod wielu względami odpowiedniejszego. Zdaje się, że temu projektowi stoi na przeszkodzie siła tradycyi.

Dąbrowa Górnicza. W zagłębiu kopalni miejscowych daje się odczuwać dotkliwy brak robotników. Wobec tego przedsiębiorstwa nie mogą podołać zamówieniom, co znowu wpływa na drożyznę węgla.—Poddani niemieccy w Sosnowcu, dla ułatwienia częstych stosunków z zagranicą, starają się u władzy o utworzenie w tej miejscowości konsulatu. Podobno zabiegi ich będą uwzględnione. Konsulem zostanie jeden z miejscowych fabrykantów.

Kamieniec Podolski. Działkowanie większej własności ziemskiej w gubernii, robi szybkie i znaczne postępy. W roku przeszłym przeważnie przy pomocy Banku włościańskiego rozparcelowano kilkanaście majątków. W ostatnich czasach cena ziemi spadła znacznie z powodu nadzwyczajnej taniości zboża. Włościanie, kupując działkami, płacą po 95—105 rs. Sprzedają większe dobra głównie ci właściciele, którzy niedawno je nabyli.—Ludzie, dbający o ogólny stan zdrowotny, powszechnie skarżą się na zanieczyszczanie rzek miejscowych przez ścieki fabryczne. Według obliczeń korespondenta Kijewl., gub. podolska w końcu r. z. liczyła ogółem 44 cukrownie, z których 14 odprowadzała swe ścieki do Dniestru bezpośrednio lub za pośrednictwem wpadających doń rzeczułek, 6 do Bohu, 19 do różnych dopływów tej ostatniej rzeki. Tym sposobem 39 cukrowni, zanieczyszczając wody rzek miejscowych, przyczyniają się do pogorszenia stanu sanitarnego gubernij. Wobec tego, iż w trzyletnim okresie epidemii cholery gub. podolska celowała, że zaraza nie gasła tu przez rok okrągły, warto na taki stan rzeczy zwrócić uwagę. Najbardziej choroby gnieżdżą się w miasteczkach, czasem malowniczych zdaleka, ale słynnych z niechlujstwa. Kto się nie zna na błocie podolskiem i lekceważy je, może utonąć w jakim rowie lub jamie na środku ulicy. Na placach, zalanych rozrzedzonem błotem odbywają się sławne jamarki—w wielu razach roznosiciele epidemii.

Kijów. „Kontrakty“ doroczne zwykle wyrażają obraz życia przemysłowo handlowego prowincyj południowo-zachodnich. Obecnie warunki świetne dla spekulantów, są nadzwyczaj smutne dla ziemian i wogóle ludzi pracujących na roli. Najlepsze interesy robią kupcy zbożowi, którzy korzystając skwapliwie z ciężkiego położenia rolników i chronicznego u nich braku gotówki, udzielają chętnie zaliczeń na przyszłe plony pszenicy, ale na warunkach bezecnego wyzysku, gorzej — rozboju! Pobierają oni po 60% i więcej za swoje usługi. Jest to forma lichwy, szerząca się dotychczas bezkarnie. Pod innymi względami ziemianie także cierpią w roku bieżącym. Dawniej bardzo łatwo wyszukiwali sobie dzierżawców, ci zaś chętnie przystawali na warunki korzystne dla właścicieli. Obecnie owi pracownicy na warsztatach najętych wzdragają się, nie chcą przystać nawet na niskie tenuty, bo sami już nie wierzą w powodzenie rolnictwa, a świeże bankructwa, raczej zupełne ruiny wielu dzierżawców, są dla nich zimną wodą, wylewaną na głowy. Dla zobrazowania obecnego stanu rzeczy, podajemy fakt wymowny: Pewna właścicielka folwarku 1,000-morgowego, od kilku miesięcy poszukuje bezskutecznie dzierżawcy. Obecny, dobijający do końca terminu umowy, płaci po 5 rs. za morg. Dla zachęcenia innego, właścicielka zniżyła tenutę zrazu na 4—potem 3, 2½ rs. i pomimo to nie może dotychczas znaleźć ochotnika, bez względu, że folwark leży tylko o trzy wiorsty od stacyi kolejowej, gdzie się znajduje fabryczny skład buraków. Wobec tego wielu zniechęconych i podrujnowanych posiadaczy stara się o nabywców ziemi. Oczywiście skorzystają z tego majętni spekulanci, którzy będą za bezcen nabywać grunty po to, żeby na nich przy odpowiednich obrotach handlarskich zarabiać tysiące.

Petersburg. Prasa miejscowa opowiada ciekawy wypadek szantażu, którego się dopuścił niejaki Cyon, niegdyś ruchliwy urzędnikiem szczególnych poruczeń przy ministeryum skarbu. Powierzono mu kiedyś prowadzenie rokowań z grupą Rothschilda w sprawie pierwszej konwersyi listów zastawnych Towarzystwa wzajemnego kredytu ziemskiego. Pośrednik zarobił na tem około miliona franków „komisowego“ od bankierów. Przy układach o drugą konwersyę zarobił 400,000 i otrzymał za to dymisyę. Obecnie wydał on w Paryżu broszurę, w której usiłuje wykazać, że niedobór budżetu rosyjskiego obejmuje kilkaset milionów rubli, przytem, jak powiada *Now. Wrem.*— „rzuca przeróżne oszczerstwa na osoby, zarządzające finansami Rosyi. Rozsyłając próbki swego dzieła osobom zainteresowanym i zatrzymując w swych rękach resztę „towaru,“ autor liczył wyraźnie, że zrobi świetny interes, przypuszczał że owe osoby kupią drogo jego milczenie i że zniszczenie nakładu przyniesie mu sto razy więcej dochodu, niż puszczenie go w handel.“—Na giełdzie petersburskiej rozpalił się znowu ogień hazardownej spekulacyi za pomocą akcyj kolejowych. We środę ubiegłą po zamknięciu giełdy był ogromny popyt na akcye kolei: Rybińskiej, Południowo-Zachodnich, Kijowsko-Woronezkiej, tudzież na pożyczkę premiową banku szlacheckiego.—Rozpoczęło tu działalność Towarzystwo na wzajemności oparte, pow nazwą „Tani kredyt.“

Szkoły fachowe. Sprawa szkolnictwa, oddawna przechodząca różne fazy projektów, obecnie w niektórych szczegółach zaczyna zbliżać się do życia. Niedawno (jak donosi *Prawit. Wiest.*) ministeryum oświaty rozesłało zarządom okręgów naukowych okólnikową propozycyę, ażeby porozumiały się ze stosownemi instytucyami miejskiemi; zebraniami ziemskiemi, kupieckiemi, mieszczańskiemi, urzędami rzemieślniczymi, tudzież fabrykantami i przemysłowcami w sprawie urządzania niedzielnych i wieczornych „kursów zawodowych“ przy ogólnych zakładach naukowych średnich i niższych oraz przedewszystkiem przy technicznych i rzemieślniczych, rozporządzających największą sumą środków do zorganizowania nauki w takiej formie. Ministeryum powoduje się tem przekonaniem, że wszelkie gałęzie wiedzy fachowej mogą być udzielane nietylko uczniom szkolnym, ale i osobom, posiadającym już wykształcenie ogólne i oddanym działalności praktycznej. Takie uzupełnienie wiedzy będzie dla nich rzeczą nader pożądaną i pomocną w ich pracy, której produkcyjność przez to się zwiększy dla ich własnego, jak i powszechnego dobra. Ale ponieważ pod względem stopnia wykształcenia ogólnego tudzież rodzaju zajęcia zachodzić będą wielkie różnice między słuchaczami, ministeryum przyszło więc do wniosku, że najlepiej poprzestać na czytaniu specyalnych kursów, poświęconych różnym gałęziom wiedzy fachowej i postawić na pierwszym planie naukę rysunku ogólnego i zastosowanego do rozmaitych rzemiosł i przemysłu. Będzie więc to organizacya na wzór angielskiej, gdzie takie kursy ogromnie rozwinęły wykształcenie zawodowe.

I w Rosyi były pod tym względem próby, dotychczas pojedyncze. Mianowicie stała komisya przy Cesarskiem Towarzystwie technicznem już od lat 25 szerzy wiedzę zawodową za pośrednictwem kursów wieczornych i niedzielnych dla robotników. W r. 1893 otwarto kursy kopiowania przy fabryce briańskiej z jej własnych funduszów, a w roku przeszłym—przy szkole rzemieślniczej w Kiszyniowie, z zasiłkiem od dumy miejscowej i urzędu rzemieślniczego. Obecnie, jak widzimy, ministeryum czyni zabiegi, ażeby tego rodzaju organizacya nauczania rozwinęła się możliwie najszybcej w całem państwie. Zaznaczamy ten fakt, jako niezmiernie ważny, gdyż może on liczne rzesze ludzi przysposobić do pracy owocnej. Ilu dziś pracowników boryka się ze szczerbami wiedzy, które nie pozwalają im rzetelnie zużytkować sił i dobrych chęci, o tem każdy wie, kogo choć trochę obchodzi życie ogólne. Zwróćmy jeszcze uwagę na to, że nauka szkolna ma zawsze na względzie przysposobienie armii pracowników na przyszłość, gdy tymczasem setki i tysiące ludzi z owemi szczerbami w wykształceniu, nie miały możności uzupełnić braków, więc pozostawało im albo ustąpić z pola przed młodszymi, albo pracować z większem niż oni wytężeniem i—z mniejszym pożytkiem. Prawda, że długoletnia praktyka ludzi niewykształconych systematycznie pobija częstokroć młodzików patentowanych; ale ci znowu, mając zasób wiedzy potrzebnej, prędzej się oryentują w praktyce, nie wpadają nigdy w zaśniedziałą rutynę i wreszcie zawsze mają przewagę nad pierwszymi. Dodać jeszcze należy, że wiedza fachowa, szerzona za pośrednictwem kursów rzeczonych śród mas ludności pracującej, wogóle podnosi sumę ich uzdolnień, a tem samem i produkcyjności pracy. *D. Z. M.*

Przepisy o poddaństwie. Komisya pod przewodnictwem v. Plewego opracowała przepisy o przyjęciu i opuszczeniu poddaństwa rosyjskiego, które, złożone już radzie państwa, prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości wejdą w życie. Ze względu na ogólne ich znaczenie, podajemy treść zasadniczą. Przepisy dzielą się na dwie części 1) o przyjęciu i 2) o utracie poddaństwa rosyjskiego. Pierwsza zachowuje ministrowi spraw wewnętrznych dawną jego władzę w zakresie udzielania poddaństwa. Zwiększono tylko liczbę osób, które nie mogą być przyjęte. Do tej kategoryi należą cudzoziemcy pochodzenia żydowskiego i derwisze. W nowych zaś przepisach zaliczono jeszcze: a) osoby, które podług praw ojczyzny swojej i stosownie do przepisów, obowiązujących w Rosyi, nie zażywają zdolności prawnej; b) osoby, nie przedstawiające rękojmi dostatecznej, co do swej prawomyślności i nie mające określonych zajęć i środków do życia; c) żydów (oprócz karaimów) i derwiszów.

Obowiązek złożenia dowodów zdolności prawnej przyjmuje na się osoba, która się o poddaństwo rosyjskie ubiega. Warunki, którym dowody te winny czynić zadość i sposób ich składania, muszą być określone przez ministra spraw wewnętrznych, po porozumieniu z ministrami spraw zagranicznych i sprawiedliwości. Dla cudzoziemców, urodzonych w Rosyi, lub zamieszkałych w niej przynajmniej lat 10, ułatwiono znacznie możność udowodnienia dawnego zamieszkania w granicach państwa.

Stosownie do art. 8 nowych przepisów, bez uprzedniego osiedlenia się w granicach państwa mogą być przyjęci do poddaństwa rosyjskiego: 1) dzieci cudzoziemców, zrodzone i wychowane w Rosyi, albo choć zrodzone za granicą, ale posiadające dyplomy z ukończenia kursu nauk w średnich i wyższych zakładach naukowych rosyjskich, jeśli wystąpią z podaniem o udzielenie im poddaństwa rosyjskiego w ciągu roku od daty dojścia do pełnoletności. 2) Pełnoletnie dzieci cudzoziemców, przyjętych do poddaństwa rosyjskiego, jeśli wystąpią o to przyjęcie wespół z rodzicami, albo w ciągu roku od daty przyjęcia rodziców do rzędu poddanych państwa. 3) Dzieci pełnoletnie poddanki rosyjskiej, wracającej do tegoż poddaństwa po stracie męża cudzoziemca lub zerwaniu z nim związków małżeńskich, skoro dzieci te występują o poddaństwo jednocześnie z powracającą matką albo

w ciągu roku od daty powrotu matki do liczby poddanek Rosyi.

Zmianom żadnym nie uległy przepisy, obowiązujące obecnie co do sposobów podawania prośby i składania przysięgi przez cudzoziemki, które wyszły za mąż za poddanych rosyjskich.

Wreszcie prawo zawiera dwa całkiem nowe punkty: 1) Niepełnoletnie dzieci osób, przyjętych do poddaństwa rosyjskiego przed ogłoszeniem przepisów niniejszych, mogą być przyjmowane także wskutek podań rodziców; 2) cudzoziemcy, przyjmujący poddaństwo rosyjskie po przejściu lat popisowych i mający więcej niż 26 lat wieku, zaliczani być winni do milicyi.

Część druga zawiera kilka zupełnie nowych przepisów: Utratą poddaństwa nazywa się, jeśli poddany rosyjski przemieszkał za granicą lat 10, bez specyalnego pozwolenia rządu, lub bez odnowienia paszportu. Osoba taka musi wnosić prośbę o zwolnienie od poddaństwa. Kategoryę tych, którzy nie mogą uzyskać owego zwolnienia, znacznie rozszerzono.

Zaliczono tu: 1) Kobiety zamężne oddzielnie od mężów; 2) osoby podlegające służbie wojskowej dopóki nie będą zwolnione w drodze wskazanej przez prawo; 3) osoby, pozostające w służbie wojskowej lub zaliczone do rezerw armii i floty; 4) obciążone zaległościami podatkowemi na rzecz skarbu i instytucyj, lub karami należnemi z wyroków sądowych i 5) osoby, zostające pod zarzutem przestępstw i zbrodni kryminalnych.

Jeżeli zwolnieni od poddaństwa rosyjskiego mieszkają w Rosyi, to powinni wyjechać za granicę w ciągu sześciu miesięcy od daty wydania świadectwa. Po upływie tego terminu, lub udzielonej wrazie danym prolongaty, świadectwa tracą moc, a ci, którzy starali się o zwolnienie, wracają do praw dawnych.

Ci, którzy *utracili* poddaństwo rosyjskie a przyjęli zagraniczne bez zwolnienia od rosyjskiego, mogą przyjeżdżać do Rosyi tylko na mocy wyjednanego za każdym razem pozwolenia ministeryum spraw wewnętrznych.

SPRAWY EKONOMICZNE

W SEKCYI ROLNEJ.

Nowa dźwignia w rolnictwie i przeszkody na jej drodze. — Śmiać się, wstydzić, czy—pracować? — P. Suligowski i oponent. — Tani wywóz i jego wpływy. — Stowarzyszenie chmielarskie. — Przemysł domowy.

Trzeba przyznać, że ze wszystkich sześciu sekcyj najobfitszy zwykle materyał posiada rolna; tak dalece, że pomimo rozszerzenia posiedzeń miesięcznych o parę godzin, nie można porządku dziennego całkowicie wyczerpać i zawsze coś jeszcze się odkłada na miesiąc następny. Tym razem uległ takiemu losowi „Torf" p. Dzierzbickiego, z niewielką może krzywdą dla przedmiotu i jego sprawozdawcy, gdyż produkt, objęty referatem, spoczywa jeszcze pod śniegiem i lodem, a chyba mówca nie posiada tak cudownego środka, który mógłby naraz pobudzić rolników do gorączkowej eksploatacyi bogactw ziemnych. Przekonaliśmy się nieraz, że nawet w ważniejszych i pilniejszych sprawach wszelkie bodźce, środki sztucznej podniety nie zawsze skutkują, a na posiedzeniu poniedziałkowem p. M. Natanson odsłonił nam jeden z takich wymownych obrazków. Mówił on na pozór o rzeczy suchej i specyalnej: jęczmieniu browarnym. Produkcya i spożycie piwa u nas z każdym rokiem rozwija się i wzmacnia, stanowi już dziś poważny odłam przemysłu fabrycznego, a jednak hodowla jęczmienia, jako produktu surowego do tej fabrykacyi, jest w zupełnem zaniedbaniu. Ziemianie w znacznej większości uważają to ziarno jako niemal zbyteczne, zdatne tylko na użytek domowy i na ordynaryę dla parobków. Zdaniem wielu, zboże to zajmuje pole niepotrzebnie. Jednocześnie sami ziemianie częstokroć widzą zbawienie w plantacyach buraczanych, a więc zarazem silną podporę w przemyśle fabrycznym — cukrownictwie, czerpiącem produkt surowy z ziemi. Tem bardziej zatem jest niepojęte lekceważenie innego ziemiopłodu, który także jest materyałem do przeróbki dla przemysłu fabrycznego.

Za granicą uprawa jęczmienia browarnego odgrywa ważną rolę w gospodarstwie. Kultura tam doszła w tej mierze do wysokiej doskonałości; każde państwo ma swoje specyalne gatunki, chętnie poszukiwane przez piwowarów, więc też i piwo zagraniczne o wiele wyżej stoi od naszego. Gdy jednak cudzoziemcy, uprawiając jęczmień wyłącznie dla browarów, wydoskonalili przez umiejętną kulturę żądane gatunki — u nas ziarno, jako browarne, jest po prostu przypadkowe. To też wytwórcy piwa mają ogromny kłopot w poszukiwaniu niezbędnego towaru na oślep po całym kraju. Jeżeli jednego roku udał się on w Zapadłej Wólce, to nie można liczyć, że i w następnych latach będzie się udawał tak samo. Trzeba więc czynić zwiady. Jakże się da wytłomaczyć ten fakt dziwaczny? Oto rolnicy możeby chętnie uprawiali jęczmień *browarny*, gdyby wiedzieli na pewno, że taki właśnie im się uda. Pocóż jednak mają daremnie pola zajmować produktem na sprzedaż, który, gdy się nie przyda do browarów, przyniesie tylko straty i będzie balastem niepotrzebnym? A przecież hodowcy zagraniczni wytwarzają to ziarno wyłącznie na użytek browarów i z góry wiedzą, że cały plon będzie miał zbyt, stosownie do przeznaczenia. Więc fakty dowodzą, że można przy odpowiedniej umiejętności zapanować nad kaprysami ziarna, nadać mu zawsze cechy żądane i to nawet bez osobnych, uciążliwych nakładów. Trzeba tylko nabyć pewną sumę doświadczenia, nauczyć się stosownej kultury, co znowu nie jest rzeczą tak trudną. Przedewszystkiem zaś trzeba się zgodzić na to, że wszelkie gatunki ziarna krajowego wcale nie są odpowiednie po temu, że zatem nie warto tracić czasu na doświadczenia o wątpliwych rezultatach, skoro jest prosta i pewna droga: sprowadzać z zagranicy nasiona już wypróbowane wszechstronnie. Do naszego klimatu najbardziej się nadają szlachetne nasiona z Niemiec środkowych tudzież gatunki czeskie i morawskie. Ale ponieważ jęczmień wogóle należy do roślin szybko wyradzających się, więc co lat 4—5 trzeba na nowo nasiona sprowadzać, które na trzeci rok dają już całkowitą żądaną ilość ziarna siewnego.

Zwróćmy uwagę na to, że nietylko browary miejscowo spożywają znaczną ilość tego produktu; olbrzymie obszary Cesarstwa, upośledzone pod względem klimatycznym, poszukują u nas jęczmienia browarnego. Gdyby więc jego hodowlę rozwinięto na wielką skalę i stworzono pewną ciągłość stosunków przemysłowo-handlowych, ziemianie nasi znaleźliby w lekceważonem ziarnie ważną dźwignię, która pokrywałaby straty, wynikające z kosztownej uprawy i nizkich cen innych ziemiopłodów. Czy atoli można liczyć na rzutkość i wytrwałość rolników w tej mierze? Oto próba znamienna, ujawniona przez prelegenta, która niechaj za odpowiedź służy: Jak wiadomo, jedna z najczynniejszych—delegacya nawozu, pracuje rzetelnie na gruncie praktycznym; badała ona uprawę pszenicy, w roku zaś bieżącym zamierza czynić odpowiednie próby z kartoflem i jęczmieniem. Doświadczenia owe polegają na tem, o ile te lub inne składowe części nawozów sztucznych wpływają na ulepszenie rośliny. Ponieważ badania mogą dać pożądane owoce tylko wtedy, jeżeli będą przeprowadzone w różnorodnych warunkach i na różnych rodzajach gleby, więc delegacya sprowadziła z zagranicy 1,500 kilogramów jęczmienia Hanna, najwybitniejszego z gatunków i rozesłała 25 zaproszeń do nabycia nasion tudzież przeprowadzenia prób. Na to otrzymano z *całego* kraju odpowiedzi... *sześć!*

„Doprawdy—powiada p. Natanson—nie wiadomo, czy się śmiać, czy wstydzić takiej obojętności ziemian, wobec której ręce opadają, zniechęcenie ogarnia ludzi najwytrwalszych, gotowych w każdej chwili na ofiarowanie swych usług dla dobra ogólnego. Delegacya nie może wypełnić zobowiązań z braku chęci śród rolników. Czy warto pracować dla nich? To gorzkie pytanie każdy z inicyatorów może mieć na ustach, tem bardziej, że obok obojętności napotykają oni często niedowierzanie a nawet opór, rozbijający w proch nie tylko chęci, ale i czyny. Mieliśmy i tym razem małą próbkę takiego zjawiska. Ktoś np. na tej podstawie, że jeden z lepszych gatunków zagranicznego jęczmienia, zaaklimatyzowanego w kraju, piwowarzy miejscowi odrzucili, usiłuje dowieść, że nie warto wcale posługiwać się obcemi nasionami. Może wobec takiego stanu rzeczy p. M. Natanson i inni działacze w tym zakresie daliby pokój swym usiłowaniom, gdyby nie przebłyski czynu i nadzieja, że nauka z wytrwaniem pokona z czasem obojętność i rutynę. Ziemianie wraz z piwowarami zebrali się nazajutrz po posiedzeniu sekcyi na osobne narady nad sposobami wprowadzenia w kraju właściwej kultury jęczmienia browarnego. Może po wszechstronnem rozpatrzeniu sprawy przystąpią oni do urzeczywistnienia proponowanej przez p. Natansona wystawy nasion jęczmienia, uprawianego w kraju, bo samo prezydyum tudzież słuchacze jakoś zachowali się biernie wobec tego projektu. Wystawa taka, zdaniem prelegenta, wykaże tylko całe ubóstwo i wszelkie niedostatki w tej gałęzi produkcyi rolnej u nas, a to właśnie może będzie bodźcem do wprowadzenia racyonalnej kultury przy pomocy nasion zagranicznych. Jeżeli to kiedy przyjdzie do skutku—pożądana będzie organizacya handlowa, która pozwoliłaby piwowarom wyszukiwać produkt bez trudu i zawodów. Ile razy potrącę o tego rodzaju machineryę i pośrednictwa handlowe w zakresie rolnym, zawsze przychodzi mi na myśl zbyt szczupły program działalności sekcyi i brak Towarzystwa rolniczego o szerokich podstawach, na wzór mińskiego i innych?..

Drugim przedmiotem, niezmiernie ważnym na posiedzeniu, był wykład p. Adolfa Suligowskiego o kulturze rolnej i taryfach kolejowych. Ponieważ ten sam odczyt słyszeliśmy w Petersburgu i mieliśmy sposobność mówić o nim w osobnym artykule, więc go streszczać tu nie będziemy. Nie podobna wszakże pominąć uwag, jakie zeń wypłynęły. Prelegent mówiąc o dziejach zastosowania w życiu taryf różniczkowych, zaznaczył charakterystyczny szczegół: Przed opracowaniem systemu stawek zasięgano zdania różnych rzeczoznawców w całem państwie, szczególnie zaś zwrócono się do giełd. Rolnicy także mogli brać pośrednio udział w tej pracy i bronić swoich interesów. Tym czasem z Królestwa Polskiego pojechał tylko jeden (przedstawiciel giełdy) i pomimo, że przy dobrych chęciach i rozumieniu istotnych potrzeb zrobiłby wiele, nie zrobił nic, chociaż twórcy taryf byli bardzo skłonni do uwzględniania wniosków, przekonywająco wyłożonych. Ziemianie nasi opuścili także tę sposobność.

Wykład p. Suligowskiego opracowany jest nadzwyczaj sumiennie, źródłowo i na gruncie szeroko pojętych potrzeb ekonomicznych oparty; zawiera także zestawienie i ugrupowanie danych, na które nikt dotąd się nie zdobył. Pomimo to wszystko, praca owa w pewnych szczegółach podle-

gła krytyce—p. Donimirskiego. Dowodził on, że zmniejszenie kosztów wywozu zboża za granicę, zniży znacznie ceny ziarna na rynkach europejskich i tem samem podziała ujemnie na stan rynków wewnętrznych. P. D. zapomniał o wypróbowanym już systemie przez syndykat cukrowniczy: Zbywa on swój produkt za granicę nawet ze stratą, byle się pozbyć nadmiaru; skutkiem tego po za obrębem państwa cukier rosyjski jest tak tani, że anglicy karmią nim świnie, a u nas ludzie ubodzy uważają go za zbytek. Nie idzie zatem, ażeby w taki sam sposób wyrzucaniem znacznej ilości zboża rosyjskiego na rynki obce dać cudzoziemcom możność wyściołania dróg żytem i pszenicą albo zasypywania kanałów, a w kraju podnieść ceny do tej skali, iżby ludność uboga marząc o chlebie, żywiła się korzonkami. Między cukrownictwem a rolnictwem zachodzą znacznie różnice, zarówno pod względem warunków produkcyi, jak i organizacyi przemysłowo-handlowej. Ziemianie nigdy nie stworzą takiego zrzeszenia, które tuczyłoby się kosztem spożywców wyzyskiwanych. Chodzi o znośne poprawienie cen, a więc o wzmocnienie tych wielkich warsztatów pracy, które przy dobrych warunkach zatrudniając masy ludzi, mogą poprawić dobrobyt o tyle, że wzrost cen zboża nie będzie dla nich ciężarem. Jeżeliby znaczny napływ ziarna rosyjskiego na rynki zagraniczne spowodował spadek cen, to znowu nie w takich rozmiarach, iżby to mogło dotkliwie się odbić na „konjunkturach“ naszych.

Przy sposobności zaznaczyć musimy, iż delegacya chmielarska przystąpiła już do zawiązania stowarzyszenia na warunkach dogodnych dla uczestników. Minimum wkładu wynosi 100 rs. od morga. Przy zapisie należy wnieść 10%, resztę w miarę zapotrzebowania, z uprzedzeniem na dwa miesiące. Pierwszeństwo mają plantatorowie, posiadający nie mniej, niż pięć morgów chmielniku. Oprócz chmielarzy mogą do spółki należeć także osoby postronne.

Przy sekcyi rolnej istnieje delegacya, otaczająca swą opieką włościan. Od lat paru stara się ona o rozwój przemysłu domowego śród ludu, a działalność jej o tyle godną jest uwagi, że istnieją rezultaty owej pracy, tylko nie zupełnie w takiej formie, jakby się spodziewać i życzyć należało. Owi protektorowie założyli właściwie w paru miejscach „stacye doświadczalne“ przemysłu drobnego: zaszczepili tkactwo i garncarstwo na wsi. Tylko że pierwsze zagarnęło w swe ręce jakieś „konsorcyum,“ które może nie będzie miało interesu włościan na względzie, a drugie — szwankuje: piece niedobre, więc wyroby garncarskie są liche i popsute. Obecnie delegacya stara się o wprowadzenie ogrodnictwa śród ludu, nie dla handlu, lecz „dla naprawy pożywienia i — umoralnienia“ włościan. Pomijając naiwne pobudki z odcieniem dobroczynno-opiekuńczym, trzeba powinszować pomysłu; ale niechże on nie wejdzie w życie pod postacią doświadczeń w tej lub innej wsi, lecz ogarnie kraj cały. Sekcya ma powołać do współdziałania Towarzystwa: ogrodnicze i pszczelnicze. Myśl bardzo szczęśliwa! Przy takiem połączeniu sił i środków możnaby prowadzić pracę pożyteczną i płodną.

Drogomir.

— Na zebraniu ogólnem narady, zwołanej w celu rewizyi taryf węglowych, wniesiono referat podkomisyi N. E. Hijacyntowa w sprawie zniżenia opłat na kolejach w Królestwie Polskiem. Podkomisya doszła do wniosku, że zniżenie to jest niemożebne z powodów następujących: Połączenie kolei Wiedeńskiej z Fabryczno-Łódzką pod względem taryfowym w ogólnym systemacie, obowiązującym na całej sieci kolei w państwie (oprócz Królestwa Polskiego) i rozpoczynającym się od $^1/_{35}$ kop. od puda i wiorsty, doprowadziłoby do tak znacznego zniżenia dochodu wymienionych dróg, że w najbliższym czasie zastosowanie taryfy zniżonej pociągnęłoby za sobą wstrząśnienie cen akcyj, ich dywidendy, a stąd i dochodu skarbu. Strata kolei wyraziłaby się w sumie do 800,000 rs., z których na skarb przypadłoby około $^1/_2$ miliona rs. rocznie. Takie przejście kapitału od kolei w ręce przemysłu, rozwijającego się pomyślnie i nie potrzebującego pomocy, uznano za zupełnie zbyteczne i niemożliwe.

— *Peterb. Wied.* piszą: Liczba większych fabryk, które z własnej inicyatywy wprowadzają u siebie 8-godzinny dzień roboczy, ciągle wzrasta. Niedawno właścicielowi papierni dobruskiej w gub. mohylowskiej, ks. Paszkiewiczowi, pozwolono zastosować normę 8-miu godzin dla robotników, pracujących na zmianę i 9 godzin dla dziennych. Reformę wprowadził dyrektor fabryki, inżenier-technolog Stulczyński, bez wszelkich trudności, przyczem nie zmniejszył się ani zarobek robotników, ani nie potrzeba było dopłat ze strony fabryki.

O PRAWDĘ.

Odpowiedź na art. „Plamy na słońcu.“

Rozumiem i podzielam ubolewanie nad losem robotnika i jakkolwiek poglądy p. N. R. w tej kwestyi uważam za jednostronne i na nieznajomości stosunków wiejskich oparte, to zawsze dowodzą one sporej dozy altruizmu i chęci poprawienia doli „maluczkich.“ Lecz z drugiej strony, kto wytyka błędy i podnosi alarm na stosunki istniejące u nas, niech także raczy wskazać środki, za których pomocą reformę odrazu możnaby przeprowadzić. P. N. R. zapomina, że ziemianin nic więcej nie może dziś zrobić nad to, że sobie ujmie a da służącemu; solidarne działanie ziemian w tym zakresie jest zupełnie wyłączone; zapewniam jednak p. N. R., że pojedyńcze usiłowania doraźnej pomocy nie są rzadkością, lecz konieczność zamyka je w pewnych określonych granicach.

Nie wdaję się również w rozbiór ustępu, w którym p. N. R wykazuje błędy i anomalie w dziale inwentarza roboczego, narzędzi i machin rolniczych, gdyż miejsce po temu raczej w piśmie specyalnem, a nie na szpaltach „*Prawdy*“ zaznaczę tylko, że ogólnie biorąc, inwentarze z małymi wyjątkami są utrzymywane średnio i aczkolwiek nie dorównywają perszeronom i meklenburgom, co do siły pociągowej, to jednak ze względu na miejscowe warunki, są wystarczające.

O sierpach to wiemy z opowiadań starych ludzi lokomobil do młócenia zboża (z elewatorami), mamy około 30 w powiecie, (ten sam stosunek w całej gubernii). O tem, żeby parobcy mszcząc się za policzki, otrzymywane od p. Pługa, mieli psuć maszyny umyślnie, nie słyszałem; wiem zaś na pewno, że za te policzki, co zdarza się nader rzadko, parobcy umieją sobie wymierzać, albo doraźną satysfakcyę, albo za pośrednictwem sądów gminnych, które za taką krewkość karzą aresztem najmniej 4-dniowym. Nadmienić wypada raczej na pochwałę ziemian, że obowiązki sędziego gminnego spełnia p. Pług Nr. 2. Na szczęście czasy, kiedy właściciel majątku lub jego rządca mógł bić lub karać służbę, bezpowrotnie minęły, a ci, co nie pozbyli się dawnej tężyzny, idą do kozy.

P. N. R. biada, że robotnik wiejski ze słońcem wstaje i z nim idzie na spoczynek, że pan Pług „w ciągu całego półrocza *ohydnie* wyzyskuje służbę i zwierzęta“; owszem, bardzo będziemy wdzięczni p. N. R., jeśli wynajdzie sposób, żeby na wsi przez cały rok można było pracować równą ilość godzin, przypuśćmy taką, jak w fabrykach. Może p. N. R. ma na myśli w zimie oświetlenie elektryczne, a w lecie zastosowanie nowych wynalazków, które na żądanie sprowadzają deszcz lub rozpędzają chmury. Ale tymczasem rolnik musi pamiętać, że w przeciągu dwóch miesięcy bez względu na pogodę trzeba zebrać rezultat całorocznej pracy i podstawę dla przyszłego bytu. Zresztą, co poradzić na to, że rzepak trzeba grabić po rosie z rana, siano zakopić, gdy słońce idzie na spoczynek, pszenicę lub jęczmień zwieźć przed deszczem? Przy zupełnej tylko nieznajomości warunków, w jakich u nas i na całym świecie odbywają się żniwa, można rolnikom brać za złe, że w walce z naturą i żywiołami nie chcą być pobici. Wszak zarówno biedni, jak i zamożni włościanie, których do roboty nie zapędza harapnik p. Pługa, pracując dla siebie, na własnym zagonie, własnemi rękoma, w czasie żniw, wcześniej idą w pole i później wracają, niż robotnik dworski. Więc i oni *ohydnie* wyzyskują swoje mięśnie, żon swoich i dzieci. A cóż powiedzieć o pracy w fabrykach jak: cukrownie, młyny, gorzelnie etc., gdzie dwie zmiany robotników muszą przez czas półrocznej blizko kampanii, pracować dziennie po 12 godzin i to nie na powietrzu i słońcu, ale w warunkach niehygienicznych, ze znacznym ryzykiem zdrowia a nawet życia? Pan „od biurka“ Szczęsną Wólkę porównywa z fabryką cukru lub mydła, każe zaprzestać uprawy rozmaitych gatunków zbóż, a ograniczyć się tylko do kilku a nawet jednego, żeby się przez to wyspecyalizować więcej w pewnym zakresie i lepiej wyzyskać przyrodzone własności ziemi. P. N. R. zapomina, że ziemia to nie fabryka, w której wszystko z matematyczną niemal ścisłością jest obliczone i przewidziane naprzód, zapomina, że fabrykę cukru nic nie obchodzi ani mokre, ani suche lato, że nie dba ona o ilość opadów, lub o to, czy zima będzie śnieżna lub nie.

Fabryka mydła albo papieru nie może produkować zapałek lub czekolady, ale może wyrabiać kilka gatunków mydła, lub kilka gatunków papieru, tak samo i Szczęsna Wólka wskutek elementarnych zasad żywienia roślin i racyonalnego ich następstwa w płodozmianie, musi uprawiać: groszkowe, kłosowe i okopowe, uwzględniając jedne mniej, drugie więcej, zależnie od warunków czysto miejscowych: siły nawozowej ziemi, jakości gleby, wielkości kapitału obrotowego i zmiennych konjunktur handlowych; dziś popłaca owies, jutro pszenica i rolnik pilnie musi śledzić, co dla niego korzystniejsze w danej chwili. W tym roku np. ładnie byśmy wyglądali, gdyby przepadłej od wiosennej suszy pszenicy nie powetowały dobre owsy, gdyby zjedzonego przez mszyce grochu nie zastąpiły ziemniaki.

O tem, żeby ktoś na 20 włókowym folwarku uprawiał 20 gatunków zbóż, nie słyszałem, jak również nie znam płodozmianu, któryby pozwalał na wprowadzenie podobnej wieży Babel. Płodozmiany będące w największem użyciu są: 6-o, 9-o, 10-o, 11-o i 13-o polowe, np. niektóre gatunki zbóż, jak ozime i koniczyna, powtarzając się, wyczerpują same blizko połowę pól; jakże to daleko do 20 gatunków p. N. R.!

Tak, panowie „od biurka,“ nie oszczędzajcie nas, wytykajcie nasze błędy i słabostki; w społeczeństwie naszem jest jeszcze dużo ciemnoty i egoizmu.

Pamiętajcie o tem, że co się tyczy naszej etyki obywatelskiej, to macie zawsze prawo, a nawet obowiązek, zarówno nas, jak i cały ogół sądzić, lecz niech sąd ten będzie bezstronny, nie zaprawiony przesadą i uprzedzeniem, bo czyż p. Pług przedstawiony w świetle krytyki p. N. R. nie jest bestyą gorszą, niż ostatni z „Pająków“ Junoszy? To łotr, co oszukuje na mierze, „*ohydnie* wyzyskuje“ ludzi i zwierzęta i w dodatku bije po twarzy. Co zaś do błędów naszych jako specyalistów rolników, zostawcie to — fachowcom.

Ludwik Chełmicki.

KRONIKA.

Mianowania. Po śmierci Giersa stanowisko ministra spraw zagranicznych objął ks. Łobanow-Rostowskij.

— Dowodzącym wojskiem okręgu wojennego wileńskiego został pomocnik dowodzącego w okr. kijowskim, generał Trockij.

Sprostowanie. Nasz korespondent galicyjski w nr. 6 *Prawdy* uczynił wzmiankę o przyjęciu w charakterze studentek na wydział filozoficzny uniwersytetu Jagiellońskiego pp. Sikorskiej i Dowgiałło. Otóż obecnie interesowane zawiadamiają, że prośby ich odrzucono z wielu innemi.

Sprawy społeczne. Według *Birż. Wied.*, na ogólnem zebraniu Rady państwa poruszona będzie sprawa utworzenia przy Watykanie stałej misyi rosyjskiej.

— Pozwolono utworzyć w Rosyi południowej Towarzystwo wzajemnej pomocy sztygarów, w celu udzielania wsparć członkom i ich rodzinom, dawania pożyczek, wyszukiwania posad, opiekowania się sierotami.

— Wykryto i uwięziono w Warszawie kilku fałszerzy „trzygroszniaków." Wypuścili oni w obieg tej monety na kilka tysięcy rubli. Kasy rządowe przyjmowały ją po kopiejce za sztukę.

— Ogłoszono prawo, według którego wszelkie towary i przedmioty, noszące charakter bluźnierstwa, szyderstwa, nieposzanowania dla świętości, mają wzbroniony wstęp do Rosyi.

Sądy. W ubiegłym tygodniu warszawski sąd okręgowy rozstrzygnął sprawę Władysława Kiersza, który przed ośmiu laty poczynił wielkie sprzeniewierzenia w warszawskim kantorze Banku państwa, jako pomocnik rachmistrza i zdołał zbiedz za granicę. W lipcu r. z. uwięziono go w Wiedniu i odesłano tutaj do więzienia karnego. Ogółem od r. 1883 do 1887 przy współudziale zmarłego kasyera, Kowalskiego, przywłaszczył on sobie z funduszów bankowych rs. 174,339 i spełnił dużo fałszerstw. Oskarżony przyznał się do winy. Wyrok sądowy skazał Kiersza na pozbawienie wszelkich szczególnych praw i przywilejów, tudzież dwa lata rot aresztanckich. Ta kara, stosunkowo niewielka, wynikła z okoliczności łagodzących i Manifestu Najwyższego.

Zdrowie publiczne. Z powodu zupełnego ustania cholery zniesiono wszelkie przepisy wyjątkowe na kolejach, z zachowaniem jedynie pokrowców w wagonach.

— Lekarz Adam Karczewski otrzymał pozwolenie na otwarcie w Warszawie prywatnej lecznicy chirurgiczno-ginekologicznej.

Wystawy i zjazdy. Wystawa wyrobów metalowych w Warszawie otwarta będzie 15 maja r. b.

— Na maj zapowiedziano w Londynie międzynarodowy kongres kolejowy.

Koleje i komunikacye. Zarząd kolei Nadwiślańskiej rozesłał cyrkularz, przypominający obowiązek porozumiewania się służby pomiędzy sobą i z publicznością w języku rosyjskim.

— Na przyszłość do służby kolejowej mają być przyjmowani tylko ci, którzy złożą egzamin z przepisów ruchu, czynności telegraficznych i taksowania opłat przewozowych.

— Staraniem Włoch toczą się układy w sprawie ustanowienia marki powszechnej dla pocztowego związku międzynarodowego.

— Przedsiębiorca prywatny czyni starania o przeprowadzenie drutów telefonowych między Petersburgiem i Moskwą.

Wypadki. Skutkiem trzęsienia ziemi miasto Kuczan (o 80 wiorst od Aschabadu) zapadło się z wielu mieszkańcami.

— Na stacyi kolei Nadwiślańskiej w Warszawie, w wagonie 3-ej klasy wybuchła postawiona przy piecu butelka z eterem. Uległo silnemu poparzeniu 17 pasażerów (żydów). Jeden z nich już zmarł w szpitalu.

— **Zmarli**. Antoni Podbielski, artysta malarz, w Warszawie.

— Cezar Cantu, znany historyk, w Rzymie. Autor „Historyi powszechnej," którą na język polski przełożył Leon Rogalski. Obszerniejszą o nim wzmiankę poświęcimy osobno.

— Sacher-Masoch, znany powieściopisarz, w Lindheimie.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 3 Марта 1895 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.